MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 30. WARSZAWA, 10 LIPCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

NA MARGINESIE KSIĄŻKI GIERTYCHA

W ZASADZIE istnieją tylko dwie możliwości[1] rozwiązania zagadnienia naszych kresów wschodnich. Jedna z nich, to realizowane przez grupy federalistyczno sanacyjne różnorodne kombinacje i posunięcia polityczne, wypływające w swej istocie z mniej lub więcej uświadomionej doktryny państwa narodowościowego, druga zaś to rozwiązanie, dyktowane przez żelazne konieczności naszego narodowego i państwowego położenia. Konieczności powyższe postulują organizację naszego państwa w formie państwa narodowego. Obóz narodowy stał zawsze na stanowisku państwa narodowego, jakkolwiek na razie nie mógł szczegółowo wszystkich dziedzin naszego życia objąć i opracować. Do dziedzin tych należała także naogół dziedzina polityki kresowej. Książka Giertycha jest pierwszą w tej dziedzinie, zakrojoną na tak szeroką skalę, próbą ustalenia programu. Jako taka zasługuje na bardzo pilną uwagę, dyskusję, propagandę i poparcie obozu narodowego. Osobiście, godząc się zasadniczo na ogólne założenia i tezy książki (szczegóły sporne, zresztą nieliczne i drugorzędne, trzeba będzie ustalić w kierowniczych ośrodkach polityczno-społecznych, przeznaczonych do realizacji programu) chciałbym, poza mniej licznemi uwagami, dotyczącemi samej wspomnianej książki, raczej rozszerzyć i wzmocnić rozumowanie i tezy autora.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w dotychczasowym okresie naszego ponownego życia państwowego dominuje w zakresie praktyki politycznej na kresach narodowościowy punkt widzenia, absurdalnie wprost zaciśnięty i zacieśniony po przewrocie majowym. Faktyczne zwycięstwo praktyki, realizującej na kresach państwo narodowościowe, spowodowane zostało nie tylko momentami natury, że tak powiem, mechaniczno-politycznej t. j. zagarnięciem władzy i wpływów przez sanację i jej poprzedników. To było tylko jedną z przyczyn tego zjawiska. Przyczyna ta jest najlepiej narodowej opinji uświadomiona. Streszcza się ona do szczątkowego przeżywania się w obozie rządowym doktryny federalistycznej, powstałej w zasadzie w czasie wojny z bolszewikami. Konsekwencje tej doktryny dla samej wojny i losów Polski są zbyt znane, aby je trzeba było tutaj przypominać. Mimo klęski kijowskiej, opłaconej ciężkiemi stratami na zachodzie i grożącej utratą zdobywanej wówczas niepodległości, zamysły federalistyczne nie wygasły. Federaliści wprawdzie przycichli naogół w stosunku do Rosji, ale robotę swą przenieśli na bezpieczniejszy teren, do swego własnego państwa. Nie mogąc odebrać Ukrainy i Białorusi, ani zhołdować krajów bałtyckich, zaczęli forsownie odpolszczać kresy wschodnie, tworzyć tam nowe narodowości i formować z nich ośrodki przyciągania dla przyszłego państwa federacyjnego. W robocie tej uzyskali oni poważne i groźne dla przyszłości rezultaty.

Krypto-federaliści mieli w swej akcji wolną podporę w inercji społeczeństwa kresowego i w inercji jego myśli względnie niemyślenia politycznego. Inercja ta objawiła się klasycznie u niektórych grup kresowych z b. zaboru rosyjskiego. Oto na dalekich kresach polskich, przedewszystkiem na Ukrainie, znalazły się koła polskie, które propagowały ukrainizm, wspomagając go moralnie i materjalnie. Działo się to w imię zwalczania wielkiej carskiej Rosji. Sporo tych ludzi znalazło się obecnie na polskich kresach wschodnich, jako terytorjum względnie najbliższem Ukrainie. Na skutek inercji przenieśli oni swój stary, wyrobiony w innych warunkach sposób myślenia i puszczają go w ruch obecnie. Zjawisko to jest o tyle niebezpieczne że sporo z tych ludzi straciwszy na skutek rewolucji bolszewickiej majątki znalazło się w Polsce, mając w ręku jedynie umiejętność robienia Ukraińców, względnie nawet tylko świadomość tego, że na tej robocie można zarobić.

Na terenie byłego zaboru austrjackiego inercja przejawiła się w innej formie, a mianowicie w zbyt szybkiem przyjęciu austrjackiej suggestji o odrębności i skrystalizowaniu narodowem Rusi-

[1]) Giertych Jędrzej. „O program polityki kresowej" Warszawa 1932 r. Tow. Wyd. „Patrja". Str. 148 (Dom Ksiąski Polskiej).

nów. Pozatem na stan stosunków na tem terytorjum wpłynęła zdecydowana masowa emigracja inteligencji wschodniomałopolskiej do innych dzielnic polskich. Emigracja ta zmniejszyła i zubożyła polską inteligencję kresową, przesuwając w ten sposób stosunek sił polskoruskich na korzyć obozu ukraińskiego. Fakt powyższy bardzo osłabił tętno polskiego życia narodowego, czyniąc je ponadto bardzo wrażliwem na nacisk administracji państwowej, opanowanej w międzyczasie przez elementy federalizujące.

Osobną pozycję wśród sił, pracujących nad odpolszczeniem kresów wschodnich zajmują socjaliści polscy, którzy niedawno wsławili się demonstracyjnym wnioskiem autonomistycznym w sejmie. U podstawy stanowiska socjalistów leży najprawdopodobniej chęć wyeleminowania od wpływów na życie Polski kresów wschodnich z racji ich agrarnej struktury. W razie bowiem daleko idącej autonomji terytorjalnej na kresach, układ sił w reszcie Polski przesunąłby się bardzo wybitnie na korzyść socjalistów, dajac im ten sposób zwiększenie swych wpływów w całem państwie.

Wymienione powyżej fakty i prądy panujące w polskiem społeczeństwie, w mistrzowski wprost sposób wykorzystują ośrodki separatystyczne. Zwłaszcza obóz galicyjskich Ukraińców doszedł na tle tych stosunków do wyników oszałamiających samych Ukraińców, a deprymujących często Polaków. Rozwój bowiem ukrainizmu wygląda zupełnie wspaniale, granicząc dla jednych sfer z cudem, dla innych zaś z pewną trwogę budzącą, niesamowitością. Pobity bowiem w walce orężnej i na skutek tego zdyskredytowany, zdołał on jednakże niesłychanie szybko nie tylko zreorganizować się, dostosować do nowych warunków, odzyskać wpływy pomiędzy ludnością uską b. zaboru austrjackiego, ale zdobyć też dość już poważne wpływy na Wołyniu i na północ od niego. Gdyby to wszystko nie było robione na tle wyżej naszkicowanych warunków cześciowo polskiemi siłami, to oczywiście możnaby mówić o odrodzeniu narodowem ukraińskiem. A że naogół przyczyny rozwoju prądów separatystycznych w ogólności, a ukrainizmu w szczególności są bardzo mało uświadomione, więc też tak swoje zdobycze rozumieją zarówno Ukraińcy, jak też poważna większość Polaków. Ukraińcy ze względów taktyczno-partyjnych wytwarzają około swoich zdobyczy niesłychanie dużo hałasu, ażeby polskie czynniki polityczne wystraszyć i wytargować autonomję terytorjalną, którąby dała podstawę bytu inteligencji separatystycznie nastrojonej. Jednakże oprócz gry politycznej, niektórzy przywódcy ukrainizmu naprawdę uwierzyli w organiczne podłoże swoich ostatnich zdobyczy; co więcej zdobycze owe zaczynają im uderzać do głowy. Takby przynajmniej należało sądzić na podstawie niektórych faktów. Oto „Diło“ zaczęło w ostatnich czasach propagować ukrainizację polskiej ludności rzymsko-katolickiej w Małopolsce wschodniej. A przecież już raz za czasów austrjackich ukraińscy działacze przekonali się, że ukrainizacja ta jest niemożliwa. Trudno nawet przypuszczać, że mamy tu do czynienia z manewrem politycznym, mającym na celu zdobycie np. instytucji katastru narodowego, mogącej Rusinów bronić przed asymilacją. Wszak tak samo ofensywnego ducha wykazała długotrwała ankieta „Diła“, drukowana ostatniej zimy, dotycząca zrównania kalendarzowego świąt grecko katolickich z rzymsko-katolickiemi. Artykuły w tej sprawie drukowane stanęły na stanowisku zrównania obu kalendarzy, akcentując to, że reforma kalendarzowa nie może zaszkodzić narodowym interesom ukrainizmu. Widzimy zatem, że przywódcy ukraińscy zdecydowali się wyjść ze szranków kościoła grecko-katolickiego, jedynej instytucji, któraby mogła jeszcze bronić odrębności Rusinów małopolskich, jako że ta właśnie instytucja dała możność odrębność tę w jej dzisiejszej formie zorganizować.

Tupet i pewność siebie potrafi, zwłaszcza w chwilach słabości przeciwnika, dość skutecznie markować istotną siłę. Nic tedy dziwnego, że w społeczeństwie naszem mnożą się w ostatnich czasach grupy i pojedyńczy ludzie, którzy gotowi są pójść na ukraińskie suggestje. Defetyści ci nie zdają sobie sprawy z tego, że jest to szczytowy punkt powodzenia ukrainizmu, który odtąd musi nieuchronnie i gwałtownie ustępować. Wszystkie bowiem przyczyny protegujące dotychczasowy jego rozwój kończą się i załamują. A więc obóz federalizujący skompromitował się w tej dziedzinie nietylko w polskiem społeczeństwie ale także w ośrodkach ukraińskich i w szerokich masach ludności ruskiej. Pacyfikacja była tej kompromitacji przejawem i przypieczętowaniem. Kresowcy z Ukrainy zdołali się już w swej większości zasymilować do warunków polskiej rzeczywistości narodowej i państwowej. We wschodniej Małopolsce wyrosło młode pokolenie inteligencji polskiej, które już nie może emigrować do innych dzielnic, ale musi zostać na miejscu. Co więcej zaczyna się już nawet obserwować przednie straże napływu inteligencji polskiej z innych dzielnic. Socjalizm stracił tak wiele ze swej mocy i atrakcyjności, zwłaszcza u dzisiejszej młodzieży, że wpływ jego na te zagadnienia będzie znikomy. Ukraińcy ograniczeni zostaną w ten sposób do swych własnych zasobów; trudno bowiem przypuszczać, aby w najbliższej przyszłości znalazły się siły polskie gotowe popierać separatystów.

Uwagi powyższe stwierdzają, że był najwyższy czas na powstanie ogólnego zarysu programu polityki i pracy cywilizacyjnej polskiej na kresach. Książka Giertycha potrzebie tej najzupełniej odpowiada. Bardzo wielka jej zaleta to oparcie całego toku rozumowań o postulat państwa narodowego. Opierając się o ten postulat, autor stanął na jedynie słusznem stanowisku polityki asymilacyjnej. Wielką zaletą pracy i programu jest przytem wybór ogólnego kierunku polityki asymilacyjnej, dokonany przez autora. Polska myśl polityczna ma obecnie niesłychanie ciężkie położenie przy rozważaniu właśnie spraw kresowych i asymilacyjnych. Nasze tradycyjne doświadczenia sięgają polityki zaborców w stosunku do narodu polskiego. A metody stosowane ongiś przeciwko nam nietylko że są niemoralne, ale nie nadają się w zupełności do naszej ogólnej sytuacji politycznej. Ponieważ zaborcy nasi w głębi duszy nie wierzyli w możliwość utrzymania ziem polskich w swojej mocy, przeto poza zaborem pruskim stosowano w zasadzie do Polski system kolonjalnego wyzysku i mechanicznego zgoła rozbijania polszczyzny. Niebezpieczeństwo zatem inercji myślowej w tej dziedzinie jest bardzo wielkie; naśladownictwo zaborców zarówno przez naszą praktykę administracyjno-polityczną, jak też teorję, tu i ówdzie pozornie się przyjęło. I dla tego właśnie jedynie racjonalne stanowisko Giertycha należy możliwie spopularyzować. Kresy zdobyć możemy wedle niego tylko wielką realną i uczciwą pracą cywilizacyjną, prowadzoną w pol-

skim duchu i dla polskich celów przez Polaków z urodzenia i Polaków ruskiego pochodzenia, a nawet języka, których ta polska praca cywilizacyjna dla polskości zdobędzie.

Tak pojęta praca asymilacyjna może być oczywiście przeprowadzona tylko wtedy, jeśli ani naród polski ani też jego państwo nie będzie prowadzić z ludnością ruską, jako taką, wojny. Na zasadach walki należy ustosunkowywać się jedynie do organizacyj separatystycznych, traktując je zresztą tak jak inne grupy polskie, ale antypaństwowe czy też antynarodowe. Podkreślić należy, że od tego, czy zdołamy tezę powyżej sformułowaną zrealizować, zależy bardzo dużo. Zależy bowiem wogóle możliwość zasymilowania naszych kresów, a może nawet nasz byt państwowy. Że uniknięcie walki z ludnością ruską, jako taką, nie jest łatwe, to widzimy w perypetjach polityki obozu sanacyjnego. Obóz ten przecie także głosił hasła walki jedynie z separatystami ukraińskiemi, a w praktyce musiał prowadzić wojnę z całą ludnością ruską. Walka ta w zasadzie trwa do dziś, wyrządzając polskim możliwościom asymilacyjnym niesłychaną szkodę.

Musimy w naszej polityce zdobyć się na wyeliminowanie zarówno samej walki z ludnością ruską, jak też nawet jej pozorów jeszcze z innego bardzo ważnego powodu. Walka ta bowiem, jej prowokowanie, podsycanie i rozszerzanie leży w interesie Niemców, którzy zapewne nawet aktywnie ją podsycają. Sprawy te są zbyt znane, ażeby się nad niemi rozwodzić. Nie mniej nie należy skąpić pracy na wyraziste i jasne zrozumienie tego, że poważna część bezpieczeństwa polskiego na Pomorzu, czy wogóle na ziemiach zachodnich, zależeć będzie od tego, jak się ułożą stosunki na naszych kresach wschodnich. Jeśliby na ziemiach wschodnich ostał się dzisiejszy zamęt narodowościowy, lub co gorsza został przy pomocy takich instytucyj jak autonomja terytorjalna lub kataster narodowy spetryfikowany, to w rezultacie mielibyśmy przeciw sobie nie tylko niemieckie państwo, ale też nasze kresy wschodnie. Mniej więcej analogicznie ułożyłyby się stosunki, gdyby nasza praktyka polityczna została, czy to na skutek inercji polityczno-społecznej, czy też z pełną świadomością, zmuszona do walki z ludnością ruską jako całością.

Żeby zaś można było przeprowadzić narodową asymilację ludności ruskiej i białoruskiej, trzeba będzie w polityce kresowej zachować nie tylko żelazną konsekwencję, wielki takt, umiar i głęboką, chrześcijańską sprawiedliwość. Proces ten uda się dopiero wtedy, jeśli ludność ruską uznamy za część polskiego narodu ze wszystkiemi konsekwencjami tego uznania. Największy walor książki Giertycha polega na tem, że uświadamia nam możliwość takiego uznania.

KAROL STOJANOWSKI

MATERJALIZM W EKONOMJI I JEGO NASTĘPSTWA

PRZYJMUJĄC, że rozwój narodu ku wielkości wymaga równoległego wzrostu jego bogactwa, jako nieodzownego środka i warunku, trzeba się zastanowić, jak to bogactwo ma być budowane, jakie drogi ku niemu prowadzą? Odpowiedź na to pytanie musi być poszukiwaniem tej siły działającej w społeczeństwie, tego motywu, którego skuteczność będzie największa, a w którym pierwiastków destrukcyjnych będzie najmniej. Myśl nasza kieruje się ku jednostce, ku jej pracy oraz dążeniom do dobrobytu. To zmusza jednak do uprzedniego omówienia problemu jednostki.

Kierunek narodowy, w szczególności nasz polski, rozwinął obszernie i sprecyzował teorję roli jednostki w społeczeństwie oraz jej stosunku do narodu. Także w literaturze ekonomicznej tego kierunku, zwłaszcza przy okazji krytycznej oceny materjalistycznego indywidualizmu szkoły liberalnej, sformułowano poglądy na to zagadnienie, tak dalece, że niema tu wiele do powiedzenia. Jednakże pozostaje do zrobienia rzecz ważna: zpopularyzowanie tych poglądów w publicystyce gospodarczej oraz przyswojenie ich szerokim kołom myślących narodowców, którzy w dzisiejszej atmosferze ustalają swoje poglądy gospodarcze i natrafiają w tej pracy na bardziej wpojone potocznemu myśleniu formuły materjalistycznych szkół ekonomicznych, wrogich kierunkowi narodowemu.

Referując ważne a trudne zagadnienie jednostki i zbiorowości, trzeba naprzód pewnej pracy wstępnej. Chodzi mianowicie o to, że współczesne pojęcia gospodarcze, związane z tym przedmiotem, pozostają pod przemożnym wpływem materjalistycznych doktryn tak dalece, że dzisiejszy spór toczy się właściwie pomiędzy dwiema odmianami materjalistycznego stanowiska. Na to, aby dojść do poglądu narodowego, trzeba naprzód wyjść z ram stworzonych przez obcą myśl, zejść z płaszczyzny całej, która jest obca i fałszywie skonstruowana.

Adam Smith, twórca angielskiej szkoły liberalnej, postawił tezę, że istotnym i zasadniczym motywem pracy człowieka jest jego materjalny, osobisty interes oraz powtóre, że dla ogółu jest najlepiej, kiedy ustrój prawny pozwala działać owej sile egoizmu gospodarczego swobodnie i nieskrępowanie. W ten sposób: materjalistyczny i oczywiście sprzeczny z rzeczywistością, błędnie sformułowany został w ekonomice indywidualizm i tak się go do dzisiaj naogół rozumie.

Socjalizm nie wystąpił przeciw pierwszej tezie Smitha czyli przeciw twierdzeniu, że główny motyw osobisty to egoizm materjalistyczny i przeciwstawił się jedynie tezie drugiej. Natomiast obraz społeczeństwa, jako zbioru egoistycznych jednostek o sprzecznych interesach, wspólny jest tym szkołom, zwalczającym się na wspólnej płaszczyźnie.

Ramy tego przeciwstawienia zaciężyły sugestywnie na myśleniu ludzkiem i do dzisiaj spór o jednostkę i zbiorowość nie umie się z nich wyswobodzić. Każdy indywidualizm podporządkowuje się materjalistycznej formule Smitha, a natomiast stanowisko nieindywidualistyczne kładzie się stale pod kollektywną, socjalistyczną etykietę. Taka systematyka jest niemal powszechna i w literaturze naukowej, zarówno gospodarczej jak wogóle społecznej (szczególnie w socjologji), oraz w publicystyce, w myśleniu potocznem. Wyobrażenia ogółu włoczone w owe ramy nie są zdolne zobaczyć jednostki w życiu gospodarczem, inaczej jak we walce i najostrzejszem przeciwstawieniu do ogółu albo

jako zbiorowoci, przygniatającej swoim bezlitosnym ciężarem opętane jedyną żądzą zysku jednostki.

Kierunek narodowy odrzuca przedewszystkiem już pierwszą tezę o głównym motywie zysku i materjalistycznego egoizmu w postępowaniu człowieka, a obraz współżycia narodowego rysuje się jego myśli zupełnie odmiennie.

Mając do czynienia z tym materjalistycznym i antyspołecznym indywidualizmem angielskiej doktryny ekonomicznej, trzeba wyraźnie podkreślić i uświadomić, że nie jest to indywidualizm jedyny, ani najbardziej reprezentatywny i że jedynie materjalistyczna i racjonalistyczna atmosfera, w której powstawały nowoczesne nauki społeczno-gospodarcze, wysunęła go na czoło tej gałęzi wiedzy. Bo wszakże silną i niezależną jednostkę wykształciło prawo rzymskie, jednostkę miało na oku chrześcijańsrwo i w podstawy naszej tradycyjnej cywilizacji rzymsko-katolickiej wrósł indywidualizm. Jednakże przepaść go dzieli od poglądów na jednostkę, głoszonych przez Smitha i jego następców.

Stanowisko narodowe nakazuje brać jednostkę taką, jaką została przez wieki cywilizacji naszej wychowana: przedewszystkiem więc związana ze swoją społecznością licznemi więzami wspólnoty, zewnętrznemi i wewnętrznemi, z przeszłością i przyszłością, z rodem i rodziną, z ojczyzną, krajem, miastem, wioską, z ludźmi wspólnego zawodu, związaną uczuciami religijnemi i zawodowemi, przywiązaniami lokalnemi, rodzinnemi, koleżeńskiemi.

Pogląd nasz nie neguje istnienia w człowieku pierwiastków egoistycznych i nie może zaprzeczyć, że dziedzina jego trosk gospodarczych, bytu materjalnego, jest szczególnie ważnem źródłem i podstawą tego nastawienia duchowego, że tutaj właśnie wchodzą w grę i rodzą się albo instynkty walki o byt wtedy, gdy jest on dzięki brakowi środków materjalnych zagrożony, albo żądza zysku ciągnionego z krzywdy cudzej, możliwa w pewnych formach współżycia gospodarczego; albo wreszcie tutaj, w tej sferze życia jest zaletą i czynnikiem ogólnie dodatnim, zapobiegliwość, oszczędność i gospodarczość, więc cnoty, które w ogólnej hierarchji nie są najwyższemi, ale istnienie ich w pewnych kołach jest społeczeństwu konieczne.

Kierunek narodowy, nie negując istnienia tych pierwiastków w naturze człowieka i nie zaprzeczając, iż sfera gospodarcza życia sprzyja ich dochodzeniu do głosu, nie może im przyznać roli decydującej ani tak doniosłej, jak materjalistyczny indywidualizm w ekonomice to uczynił. Pierwiastki te wszakże nie są w duszy człowieka ani główne ani jedyne i cywilizacja nasza nie oddaje im pierwszego głosu. Już wielcy filozofowie greccy brzuch wskazywali, jako ich siedzibę, w piersi widząc ognisko uczuć wyższych, a w głowie—najwyższego pierwiastka mądrości.

Odsuwamy na bok tendencyjność moralną materjalistycznego stanowiska; liberalni ekonomiści angielscy popełnili błąd podwójnej przesady w swojem rozumieniu roli spraw gospodarczych. Przedewszystkiem więc zapatrzeni w sferę gospodarczą życia, wzięli ją w oderwaniu od innych dziedzin, zapomnieli o jej zależności i we wniosku końcowym przecenili jej znaczenie w życiu ludzkiem. A powtóre, analizując sam pierwiastek gospodarczy życia i biorąc go przedewszystkiem od strony stosunków wymiennych, uderzeni zostali przedewszystkiem tem, co jak zysk z kapitału, albo zarobek pośrednika, daje korzyści nieproporcjonalne do włożonej pracy i dzieli ludzi szczególnie i przeciwstawia— Ta podwójna przesada, wyolbrzymiająca rolę spraw gospodarczych, będących z natury swej źródłem egoistycznych przeciwstawień i powtóre, podkreślająca w dziedzinie gospodarczej pierwiastki dzielące ludzi (istnieją nawet w sferze gospodarczej także inne), doprowadziła do sformułowania zasad materjalistycznego, antyspołecznego indywidualizmu, a w prostej konsekwencji następnie do antyindywidualistycznego, równie materjalistycznego kollektywizmu, będącego jedynie odwróceniem teorji poprzedniej.

Całe antytetyczne ustawienie elementów: jednostka — zbiorowość, które zaciążyło fatalnie na współczesnem myśleniu naukowem, społecznem i politycznem i które w politycznej praktyce jest wiecznym fermentem rozkładu, ziarnem zaburzeń i rozterek, teorją rewolucyjnych przeskoków od anarchji rozpętanych indywidualizmów do ucisku i dyktatury przeciwstawnego kollektywu, wszystko to zawdzięczamy suggestji materjalistycznego poglądu, rozpowszechnionego przez literaturę ekonomiczną.

Zniszczyć, wytępić skutecznie ową suggestję trzeba u samego źródła, w obrębie jej własnej ojczyzny — w naukach gospodarczych.

ZDZISŁAW STAHL

AUGUST HR. CIESZKOWSKI

ODSZEDŁ od nas człowiek, którego samo imię brzmiało echem z wyżyn myśli, który całą swą osobistością przedstawiał żywy łącznik z przeszłością, a przecież każdem tchnieniem, każdym odruchem niepospolitego umysłu, głosił jakby wskazania, jakby zapowiedzi czegoś, co nadchodzi, — któremu życie zeszło na wpatrywaniu się w rozległe widnokręgi, zdające się nieraz przesłaniać mu chwilę obecną. Lecz był to zarazem człowiek skromny nadmiernie, mało o sobie rozumiejący, stroniący od rozgłosu i zbiegowisk, zamiłowany w cieniu i ciszy. Tem bardziej należy powiedzieć dziś kim był tym, którzy go nie znali, a tym którzy go znali przypomnieć.

Ś. p. August Cieszkowski urodził się w Berlinie w r. 1861. Jego przyjście na świat kosztowało jego matkę życie. Niemłody już ojciec złamany tym ciosem, złożył mandat poselski do Sejmu pruskiego, który od lat szeregu piastował, a jako pole spokojniejszej działalności obrał sobie studja archiwalne we Włoszech, w szczególności w Wenecji. To też dziecinne lata upłynęły chłopcu wraz z starszym bratem Krzysztofem na trochę bezdomnej wędrówce, pod opieką przezacnej p. Klary Dembińskiej, — to w Wenecji, to w Rzymie, to znów w Cannes, rzadko w kraju.

Rzecz znamienna, że te najwcześniejsze wrażenia, nie pozostając bez wpływu na jego ustrój duchowy, — zapewniły mu głębokie zrozumienie krajów łacińskiej kultury, ale nie zaszczepiły żadnych skłonności kosmopolitycznych ani też emigranckich nawyczek, tak częstych u Polaków owego czasu. Miał dziecinnie poufałe wspomnienia z Rzymu i soboru watykańskiego. Przedstawiony Piusowi IX,

jako przyszły kandydat do jego żuawów, wyraził mu żal za baranem pozostawionym w Wierzenicy,— a w gonitwie z bratem wpadłszy do rowu, był wyciągnięty przez prałatów z otoczenia przechodzącego właśnie Papieża.

Dopiero dla nauk gimnazjalnych swych synów powrócił ojciec jego do kraju i osiadł w Poznaniu. Było to już po wojnie 1870 r. Uczęszczali do gimnazjum św. Marji Magdaleny mocno już zniemczonego. Szła wówczas walka o śpiew niemiecki w kościele. Zmarły przypominał sobie powagę, jaką cieszyli się uczniowie klas wyższych, kierujący młodszymi w tych tak wymownych zmaganiach się już na ławie szkolnej. Młodziutki przybysz z szerokiego świata nie tyle uczuł lęku przed wzbierającym duchem ucisku, — ile raczej ciche lekceważenie dla małomiasteczkowości pruskich pedagogów. To też wzorowym uczniem nigdy nie był. Stracił nawet pół roku, zaniedbawszy się w naukach. Lecz wtedy spotkała go rzecz niebywała. Wyraz zawodu i żalu ze strony nieskończenie wyrozumiałego ojca. To też to napomnienie do końca życia pamiętał.

Przyszedł wreszcie czas na studja uniwersyteckie. Ojciec, odgadując wybitne uzdolnienie syna, pragnął go widzieć kiedyś na katedrze filozofji, — ale z tem serdecznem życzeniem nigdy się przed nim nie zdradził. Było może w tej niezwykłej wstrzemięźliwości więcej głębokiej intuicji, niżby się zdawało. August Cieszkowski syn — na katedrze, propagatorem albo krytykiem myśli rodzonego ojca, to bodaj psychologiczne niepodobieństwo! Dość, że zmarły zapisał się na filozofję w Krakowie — potem przeszedł na Akademję Rolniczą w Wiedniu, — leśną w Tharandt pod Dreznem, potem znów dał się pociągnąć sławie wykładów filozoficznych Kuno Fischera w Heidelbergu. W rezultacie czasy uniwersyteckie uważał za najszczęśliwsze w życiu.

Skończyły się one dość niespodzianie. Była to połowa dziewiątego dziesiątka lat ubiegłego wieku. Panował kryzys rolniczy prawie równie jak obecny groźny. W dodatku pan August Cieszkowski, ojciec, źle widziany politycznie pod rosyjskim zaborem nie jeździł tam nigdy — dobra popadły w zaniedbanie, dzierżawcy bankrutowali — położenie stało się krytyczne. Wtedy zaszedł epizod charakterystyczny a jakże typowo polski. Starszy brat przyjechał do młodszego, a przedstawiwszy stan rzeczy zadecydował: przecież nie będziemy „landlordami“. Tem przekonał go od razu. Być właścicielem ziemi, który jej nie widzi, na niej nie pracuje, miejsca swego nie zagrzewa, powołania swego nie spełnia, to była dla zmarłego myśl niedopuszczalna. Porzucił więc Heidelberg, odbył krótką praktykę rolniczą i zaprzągł się do dźwigania podupadłych folwarków.

Tym obowiązkom ziemiańskim często niewdzięcznym i uciążliwym pozostał wierny do końca życia, z nadmiernym nieraz nakładem sił i trudu.

Lecz nie pochłaniały one wyłącznie dwuch ludzi młodych, zdolnych, żywych, uzupełniających i wspomagających się nawzajem. Nie zdołały też przytłumić potrzeb i zamiłowań innych, w znacznym stopniu obu braciom wspólnych, choć u młodszego zapewne przeważających. Mimo wielu zastrzeżeń, jakie mieć można względem wieku 19-go, przyznać trzeba, że ten jego schyłek był jednym ze świetniejszych okresów w rozwoju naszej cywilizacji. Wszystko zdawało się iść ku nieograniczonemu rozkwitowi. Odkrycia i wynalazki sypały się jak z rogu obfitości, doskonaliła się technika, przybywało z dniem każdym zamożności i udogodnień życia. Równocześnie ruch umysłowy, choć pozbawiony tych akcentów heroicznych, jakich może nadużyła epoka romantyczna, krzewił się bujnie. Kwitły studja historyczne, rozwijała się literatura piękna, pogłębiało zrozumienie sztuki. Wszak nad Polską rozbłysła świeżo gwiazda Sienkiewicza, gdy czynny był jeszcze Matejko, w świeżem wspomnieniu byli Szujski, Kalinka, — nie zamilkł jeszcze Klaczko. W krajach niemieckich widniały postacie takie jak Mommsen, jak Erwin Rhode, jak Jehro, Burkhardt. We Francji u szczytu sławy był Taine, Renan, Fustel de Coulanges — a cała plejada pisarzów tworzyła nową literaturę powieściową i krytyczną. W takich czasach umysł otwarty i ciekawy, lgnący do spraw duchowego porządku, obdarzony prawdziwie humanistycznym pociągiem do wszystkiego co ludzkie, od dzieciństwa zżyty z atmosferą Zachodu chłonąć mógł i chłonął rzeczywiście pełną piersią te różnolite pierwiastki kultury. Więc były to czasy w życiu Augusta Cieszkowskiego mnogich i wielorakich, przyjaźni w różnych sferach i krajach, rozczytywań się, dyskusyj, historycznych marzeń i artystycznych wędrówek, zwłaszcza po ukochanych Włoszech, zaglądania do uniwersytetów i wciskania się do parlamentów, poznawania i przyswajania sobie wszystkiego, gdziekolwiek cokolwiek na uwagę zasługiwać mogło. Składało się to wszystko na pewien szlachetny i wytworny dyletantyzm, tak bardzo tej epoce właściwy, ale przecież dyletantyzm, pozbawiony osi krystalizacyjnej i wyraźniejszej orjentacji, do czego się później przyznawał bez zastrzeżeń. Ktoby był wówczas śledził jego życie i poczynania, dostrzegłby bodaj jeden rys wskazujący na jego duchową przyszłość. Obdarzony pod choinką egzemplarzem Nowego Testamentu, rozczytywać się począł z coraz większym podziwem w listach św. Pawła.

W taką to atmosferę, w taką kolejność zajęć i zamiłowań spadło jak grom, zasłabnięcie, krótka choroba i prędka śmierć ojca. I otóż na dwa dni przed zgonem po raz pierwszy odsłonił starzec synowi, kim był naprawdę, wyznał że jego życie oddane było do końca nie pamięci, lecz oczekiwaniu, kazał sobie przynieść swoje manuskrypty i wraz z niemi w ręce jego oddał stanowienie o ich dalszych losach. Ten dzień, ta chwila, była odwróceniem karty, była zupełnym przełomem w losach zmarłego. Zadrgało niewątpliwie ze wzmożoną siłą przywiązanie do ojca. Lecz nie ono mogło wyjaśnić to, co w nim zaszło. W istocie dzieło ojca go olśniło, poruszyło w nim głębię drzemiących dotąd instynktów, rozbudziło niewyzyskane zdolności, wprowadziło w ruch wszystkie siły umysłu, odpowiedziało najgłębszym aspiracjom, nadało nowe znaczenie rzeczywistości. Co najwyżej powiedziećby więc można, że odbyło się w nim jakieś tajemnicze misterjum dziedziczności.

Byłoby do zrobienia studjum zaiste bardzo ciekawe, nad tem, w jakich to kształtach i etapach filozofja Augusta Cieszkowskiego przelała się w umysł tego jej pierwszego i najżarliwszego adepta. Jedno jest pewnem, że ta spuścizna, która znalazła się w jego posiadaniu, nie przedstawiała mu się ani na chwilę jako zabytek, jako historyczna pamiątka, jako przyczynek choćby pierwszorzędny do poznania przeszłości. Ona mu tchnęła od pier-

wszego wejrzenia życiem i aktualnością. To też drugorzędne znaczenie przypisywał tym stronom dzieła ojca, które ją łączyły czy to z mesjanizmem, czy z epoką romantyczną, z prądami reformatorskiemi, czy z nauką Hegla. Wyczuwając trafnie prądy swoich czasów im przedewszystkiem natchnienia ojca przeciwsiawiał. Jego dzieło było filozofją pozytywną w przeciwieństwie do pozytywistycznej. Ta ostatnia czyniła nieszczęśliwą próbę sprowadzenia wszelkich zjawisk do niewielu ograniczonych walorów, pod pozorem przestrzegania granic pewności. Ze sfery filozofji ta tendencja uszczuplająca, zubażająca i martwa, rozlewała się szeroko i była właściwie chorobą we wszelkich kierunkach duchowego życia, — rozbijała je na szereg dziedzin zazdrośnie strzegących swej wyłączności, a marnieiących w tem odosobnieniu. Dlatego to Zmarły tak wysoko cenił, chwilami bodaj za szczyt twórczości ojca poczytywał jego: O Drogach Ducha. Bo dziełko to domagało się zwalenia tych chińskich murów, zapłodnienia różnolitych pierwiastków ducha jednych przez drugie, pozytywnego czerpania z nich treści bez dowolnych uprzedzeń, uznania ich wszystkich za różnorodne wyrazy jednej wyższej zasady.

Tą łączącą zasadą była w rozumieniu autora bez wątpienia religja. Idąc za myślą ojca, musiał syn jego również w tej dziedzinie poszukać najwyższych rozwiązań. Lecz religja ma także swój „pozytywizm“, swoje zacieśnienia, swoje skostnienie. Więc z tych wyjść jej trzeba przedewszystkiem. I otóż różnodne jej żywioły, kolejne natchnienia i najgłębsze aspiracje zgodnie wskazują na ostateczne przeobrażenie świata przez wiekowy wpływ objawienia, zatem na Królestwo Boże jako cel i kres dziejów ludzkich, nie było zaś wyparciem się tego przekonania, iecz jego potwierdzeniem, jeżeli w obliczu wstrząsów i przewrotów, których bieg wypadków przynosił z sobą tyle, coraz żywiej zdawał się czuć, że religja w ogóle jest najważniejszą ze spraw, najistotniejszym z interesów ludzi i społeczeństw.

Oto były myśli, oto były najgłębsze wewnętrzne przeżycia, które przy śmiertelnem łożu ojca zawładnęły niepodzielnie duszą syna, by go z kręgu swojego więcej nie wypuścić. Niemi on oddychał, dla nich tylko działał, one to z niedoszłego profesora uczyniły wyznawcę i mędrca, poświęconego służbie idei.

Wyrażała się ona przedewszystkiem w ogromie pracy i troski włożonej w spuściznę literacką ojca. Więc wydanie całości pozostałego w rękopisie, często nieuporządkowanym lub niekompletnym „Ojcze Nasz“, ponowne wydanie tomu pierwszego, nowe wydanie i tłumaczenie na polskie „Prolegomenów“ oraz: „Bóg i Palingenezja“, tłumaczenie i wydanie polskie „O Kredycie i Obiegu,“ ponowne wydanie po francusku i po polsku rozprawy „O Izbie Wyższej“ przetłumaczenie i wydanie po francusku „Ojcze-Nasz“, ledwie dwa lata przed śmiercią ukończone, oto byłby pokaźny owoc 35-letnich trudów dla każdego. Dla niego był nim podwójnie, bo u niego staranie o ścisłość, pietyzm względem myśli ojca, chwilami przechodzi niemal w męczący skrupuł.

Nadewszystko jednak ciążyło na nim prawdziwem brzemieniem poczucie odpowiedzialności, za wydanie lub niewydanie „Ojcze-Nasz“. Każdej godziny życia brzmiało mu w pamięci słowo wyrzeczone przez ojca, że nie chciał, by kamień budowy zamienił się na kamień obrazy dla kogokolwiek. Stąd też stosunek myśli ojca do nauki Kościoła, możliwy jej wpływ, przypuszczalne jej przyjęcie — były przedmiotem nieustannych, a najsumienniejszych jego rozmyślań. Uznawszy za powinność wydanie dzieła zastrzegał się do końca przed jakimkolwiek zabiegiem, któryby mógł uchodzić za celowe nadawanie mu rozgłosu. Zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią spotkał się ze strony najbardziej do tego powołanej, z radosną dla siebie zachętą, by w czasach powszechnego przesilenia duchowego nie był zbyt lękliwy w rzucenie podobnego dzieła na szalę. Ale zasadniczo zachowania swego nie zdodał już zmienić.

W tych natomiast dziedzinach, gdzie go nie krępowały żadne wątpliwości, wykazywał nieraz zadziwiającą zdolność do udzielania się na zewnątrz. Dziwnie łatwo się dostrajał do osób różnego zawodu i pochodzenia, wydobywając z jakimś sokratycznym talentem z każdego to, co mógł dać godnego uwagi i nawzajem każdemu podając coś ze swoich myśli, nieraz najgłębszych. Pomocą niemałą była mu w tem niezwykła oryginalność jego własnego wysłowienia, dar plastycznego przedstawienia rzeczy, erudycja, obycie, wierna pamięć i wręcz twórcza w pewnych kierunkach wyobraźnia. Kto słyszał, ten nie zapomni nigdy jego opowieści historycznych z czasów jakichś gockich, czy francuskich, o wojnie Albigensów, lub walce o inwestyturę, albo znowu o dworach jakichś Estów czy Montefeltrów, Bentivogliów czy Gonzagów, o których mówił jak o osobistych znajomych. Kiedyindziej były to opowiadania o starych sługach lub sąsiadach, o drobnej szlachcie lub żydach podlaskich czasem zaprawne leciuchną ironią, a czasem jakąś patryarchalną staropolszczyzną. Często powracały także epizody z podróży, pełne humoru, rozmowy z przygodnemi znajomymi, uwagi o dziełach sztuki lub obserwowanych z ciekawością urządzeniach. W mówieniu miał styl niezwykle silny i lapidarny, a kiedy dotykał tematów refleksyjnych i filozoficznych, stawała natychmiast struktura myślowa jedna i potężnie wiązana.

Przedstawiciel najwytworniejszej kultury do spraw i ludzi nauki instynktowo lgnący, znajdował jednak drogę do naiwnych. Umiał i lubił przestawać z dziećmi, a rozprawiać z ludem prostym, na który nawzajem wpływał nieraz w sposób zadziwiający. Pamiętnemi n. p. pozostały wyniki składek wśród robotników Wierzenickiego majątku na powodzian, czy na głodnych, czy wreszcie na Skarb polski. Ta ostatnia oczywiście naraziła ich na dotkliwe straty, o czem zmarły bez wielkiej goryczy wspominać nie zdołał.

Pilny obserwator wypadków — do działalności politycznej nie czuł żadnego pociągu.

Wogóle miał wzrok zbyt olśniony, jak mówi Platon, widokiem rzeczy wiecznych, by drobne zabiegi i troski, nieraz istotnie zawodne i błahe, by niekonsekwencje i niedociągnięcia nieodłączne od praktycznego, a zatem i politycznego życia nie nużyły go i nie przygnębiały ponad miarę realnej swej wagi. A jednak wielkie zdarzenia znajdowały u niego echa silne i jasne. W czasie wojny światowej nie przestał powtarzać, że ślepym być trzeba, by nie widzieć, że to jest *finis Germaniae*.

W odrodzonym kraju z natury rzeczy wielu doczekał się zawodów i osobistych dokuczliwości. Przewagi demagogów budziły w nim cichą, lecz

głęboką pogardę, — późniejszy rozwój stosunków sądził beznamiętnie, lecz bez żadnych złudzeń, a czasem surowo. Prawdziwem cierpieniem ostatnich miesięcy jego życia było poczucie lekceważenia Polski przez wielkie potęgi świata. Bolał również nieustannie nad zadrażnieniami pomiędzy Włochami a Francją.

O szczęściu rodzinnem kilkakrotnie w życiu zamarzył, lecz losy nie okazywały się na niego łaskawe. Od śmierci ojca najcięższym i istotnie druzgocącym ciosem była nagła strata w sile wieku jedynego brata. To też sieroctwo swoje i osamotnienie czuł głęboko i dotkliwie. Lecz nie zdołało to wstrząsnać moralnemi posadami jego duszy, jak nie zdołało osłabić w nim jednego z najcenniejszych darów, jakie posiadał, mianowicie daru przyjaźni i przywiązań. Słusznie też podniesiono na jego pogrzebie, jak szerokie było koło tych osób i rodzin, na których przeznaczeniu dobroczynnie zaważył, które otaczał prawdziwą pieczą, do których duchowego zespołu należał. Bo też miał nietylko umysł potężny, lecz wielkie istotnie serce. W ostatnich jeszcze miesiącach opowiadał jednemu z przyjaciół, jak w gimnazjum będąc zdjął kiedyś ze siebie najpotrzebniejszą część ubrania, by oddać ją jakiemuś biedakowi i potem siedzieć musiał w domu, czekając na zastąpienie tego uszczerbku. I w późniejszem życiu poczucie obowiązków względem bliźnich niezmiernie miał głębokie i czujne. Gdy przy skromnych jego potrzebach i roztropnym zarządzie znaczny majątek zaczął mu w ręku przyrastać, stał się hojnym na różne potrzeby osobiste i publiczne bardzo ponad miarę tego, czego od prywatnego człowieka zwykliśmy się spodziewać. Po wojnie jeszcze w znacznie trudniejszem znajdując się położeniu, bez chwili wahania oddał powstającemu Uniwersytetowi Poznańskiemu majątek przeznaczony niegdyś przez ojca na szkołę rolniczą w Żabikowie, a duży kapitał poświecił na wymarzony, a niedoszły projekt kanalizacji rzek polskich.

Na zdrowiu podupadał od lat wielu, pozostając zawsze przy dawnych zajęciach, umiłowaniach i trybie życia. Zaledwie w ostatnich miesiącach zaczął jakby duchowo blednąć i przygasać. A jednak dawny ogień gorzał w nim jeszcze. Na tydzień przed śmiercią w sam dzień Zielonych Świątek, pamiętny w życiu ojca rozmyślaniem w Wenecji nad osobliwością Ducha Św. — przyjął wycieczkę poznańskiej grupy Iuventus Christiana i swoim zwyczajem przemówił do swoich młodych gości. Wybraliście dobrą drogę i dobre hasło — taka była treść słów jego, bo przed światem stoją dziś tylko dwie możliwości, albo kierunek wskazany przez Wiarę, Nadzieję i Miłość — albo bolszewizm. To był prawdziwy testament jego myśli, jego serca i jego życia. ADAM ŻÓŁTOWSKI

GAZETY I CZYTELNICY

I

WYDAWNICTWA prasowe są dziś przeważnie przedsiębiorstwami obliczonemi na zysk. Są więc imprezą handlowo - przemysłową, która musi mieć odpowiednio skalkulowany budżet, i przynosić dochód. Przedsiębiorstwo francuskiego dziennika „*Le Petit Parisien*“ zamknęło rok 1931 czystym zyskiem przeszło siedmiu miljonów franków! W przedsiębiorstwie prasowem, jak w każdem innem, wydatki nie mogą być większe od dochodów. Zdarza się, że dla pewnych celów towar sprzedaje się po cenie kosztu. Podobny system uprawiają niektóre wieczorowe gazety praskie. Deficyty tych gazet pokrywają te lub inne stronnictwa, „wynajmujące“ takie gazety dla swoich potrzeb. Ale jest to system korupcyjny, nienormalny i niemoralny. Bismark kupował dziennikarzy, jednego lub kilku, zależnie od tego, ilu w danej chwili było mu potrzeba. Zresztą dziś system Bismarka jest rozpowszechniony i poza granicami Niemiec. Wynajmuje się nietylko dziennikarzy, ale i całe dzienniki. I zdarza się, że, jeżeli się nie łata budżetu takiemi sposobami, to trzeba zamknąć przedsiębiorstwo, co uczyniono nawet z takim kolosem prasowym, jak „*New York World*“.

Przedsiębiorstwo prasowe sprzedaje publiczności zadrukowany papier. Ale na ten zadrukowany papier składają się koszty samego papieru, potem druku, klisz, redakcji, administracji, ubezpieczenia pracowników, podatki, potrącenia na ryzyko i t. p. Duży aparat administracyjny i cena papieru obciążają nadmiernie produkcję wielkiego przedsiębiorstwa prasowego. A wpływy ze sprzedaży nakładu współczesnych gazet, produkowanych przez wielkie fabryki prasowe, nie pokrywają kosztu produkcji. Przy dwumiljonowym nakładzie dziennym gazety angielskiej koszt papieru wynosi około 5.600 funtów, a sprzedaż nakładu daje tylko około 5.000 funtów. A więc 600 funtów straty dziennie na samym papierze, a przecież jest niepokryta jeszcze reszta wydatków.

Budżet zrównoważyć mogą tylko sumy płynące z ogłoszeń, Przytem każde przedsiębiostwo odpowiednio do większego kapitału zakładowego stara się osiągnąć większy zysk. Każde przedsiębiorstwo prasowe stara się zwiększyć nakład, bo od tego zależy napływ ogłoszeń, a niekiedy i wyższa cena za nie pobierana. Niektóre przedsiębiorstwa prasowe uprawiały np. takie praktyki, że miały rejentalnie stwierdzony wielki nakład, ale jednocześnie małą sprzedaż, czego oczywiście rejentalnie nie ujawniano. Przedsiębiorstwo było tak skalkulowane, że ogłoszenia pokrywały koszt produkcji i nawet dawały pewien zysk, tak że nie opłacał się już wkład kapitału, pracy i energji na zwiększenie sprzedaży, która mogła zawieść. Ogłoszenia wszakże w takich pismach były, pomimo ich wielkiego nakładu, martwe, czyli jak się dziś mówi „zamrożone“. Dlatego ogłaszający się zaczęli się domagać nietylko wielkiego nakładu, ale i odpowiednio wielkiego obiegu.

Przedsiębiorstwa prasowe rozpoczęły walkę o zdobycie czytelników i abonentów. Znany np. jest wypadek, że w Anglji niedawno zorganizowano całą armję agitatorów, aby zdobyć czytelników, względnie odciągnąć ich od pisma konkurencyjnebo. Żeby pozyskać dwa tysiące abonentów, wydano dziesięć tysięcy funtów. Przedsiębiorstwa prasowe, wchodząc na drogę coraz większego uprzemysłowienia, ulegają ogólnym prawom produkcji współczesnej. Dążą do zdobycia jaknajwiększego rynku zbytu. Mieliśmy już dawno królów węgla, stali, miedzi, bawełny, teraz powstają mil-

jonerży gazetowi, też swojego rodzaju królowie niekoronowani.

Wielkie przedsiębiorstwa prasowe angielskie wymagają paru miljonów funtów szterlingów i powstają trusty i koncerny prasowe tak samo jak w innych dziedzinach przemysłu. Podobnież w Niemczch, gdzie duszą zbiorową kierują Hugenberg Scherl, Ullstein i paru innych. Trusty te walczą o rynek czyli o zdobycie czytelnika i ogłoszeń równie zajadle jak wszelkie inne trusty, np. naftowe. Jest to walka o zysk, i tu się nie przebiera w środkach. Czytelnik gazety jest traktowany tylko z punktu widzenia możliwości kupczej. Gdy jeden koncern prasowy nie jest w stanie zgnębić konkurenta zawiera się z przeciwnikiem porozumienie. Do takiego porozumienia zmusza często groźba kryzysu. W związku z tem zauważa się racjonalizację i standardyzację przemysłu prasowego. Objaw ten spostrzegamy równie dobrze w sensacyjnej prasie amerykańskiej i angielskiej jak i w sowieckiej.

W pogoni za coraz większym nakładem, przedsiębiorstwa prasowe zaczeły produkować sensacje. W związku z rozpowszechnieniem czytelnictwa, a jednocześnie niskim poziomem oświaty i nerwowym trybem życia miejskiego lat ostatnich, sensacja stała się towarem o dużym zbycie. Zresztą każda gazeta jest towarem lepszym lub gorszym. Z puntu widzenia przedsiębiorcy gazeta jest towarem dobrym o ile daje zyski. Gazety sensacyjne stały się „pokarmem" duchowym szerokich sfer czytelniczych. Osiągnęły duże nakłady. Ale po pewaym czasie okazało się, że dużu nakład to nie jest wszystko. Gazeta może mieć wielki nakład, ale nie mieć wpływu na kształtowanie opinji. Tygodnik angielski „*News of the World*" ma trzy miljony nakładu, ale zgoła nie może iść w porównaniu z takim „*New Statesman*", który bije co tydzień tylko parę tysięcy, ale wytwarza opinję.

Jeżeli się rozejrzymy wśród prasy polskiej zauważymy zjawisko podobne. W wielkich zbiorowiskach wytwarza się podnieta, nastrój, graniczący z psychozą i to czynią dzienniki sensacyjne. Zresztą prasa wywołująca bodźce może tłum doprowadzić do rozbestwienia. *Exemplum*: prasa amerykańska w stosunku do murzynów, prasa niemiecka w stosunku do Polaków.

Lekarze francuscy zastanawiali się już przed laty pięćdziesięciu nad tem, jak szkodliwy wpływ wywiera prasa na system nerwowy. Istotnie prasa zwłaszcza sensacyjna, zatruwa nas codziennie. Jest to codzienna dawka narkotyku, której pożąda mieszczuch osłabiony i wyczerpany nerwowo. Ta codzienna dawka sensacji podnieca go i umożliwia mu życie duchowe bez wysiłku na szczeblu najniższym a jednak dającym złudzenie przeżywania. Sędzia H. Gross, prof. kryminalistyki, zwraca szczególniejszą uwagę na fakt, że według badań, najwięcej są czytane wiadomości o śmierci (nekrologi!) i anonse małżeńskie; potem idą opisy zbrodni i sprawozdania sądowe, następnie kronika, fejleton, recenzje teatralne, telegramy, wreszcie na ostatku artykuły wstępne i ekonomiczne.

Badacz polski i wybitny psycholog J. Wł. Dawid przed laty czterdziestu pisał o zarazie moralnej i podkreślał ujemny wpływ podniecający, narkotyzujący i sugestyjny. Lekarz i psycholog niemiecki Schrenck-Notzing opisał swego czasu wpływ sugestyjny prasy. Gdy w r. 1896 dokonano potrójnego morderstwa, dziennik monachijski „*Muenchener Neueste Nachchrichten*" postanowił przyczynić się w sprawie wykrycia zbrodniarza wydrukował wezwanie, aby każdy, kto wie cokolwiek o tej zbrodni, zgłaszał się do redakcji. Śledztwo jeszcze trwało, a dziennik już ogłosił, że sprawca mordu jest niejaki Berchtold. Wrażenie tego oświadczenia gazety było wprost niezwykłe. Zjawili się w sądzie świadkowie z najsprzeczniejszemi zeznaniami. Podczas rozprawy sądowej zjawiło się siedem osób przyznających się właśnie do tego morderstwa. A wielu świadków, jak stwierdził Schrenck-Notzing, zeznawało pod wpływem sugestji dziennika.

Podobne zjawisko obserwować można było przy zabójstwie prez. Doumera. Pod wpływem wiadomości, puszczonych przez gazety a dotyczących zabójcy Gorgułowa zgłaszali się świadkowie gotowi pod przysięgą potwierdzać wiadomości najsprzeczniejsze A rola prasy brukowej amerykańskiej, ujawniona w czasie wypadku nieszczęśliwego z synem Lindberga? Nie cofano się przed niczem, puszczano się na wszelkie sensacje, aby tylko handel szedł, czyli — by zwiększyć nakład. Nakład, zwiększyć nakład! Oto przykazanie współczesnego dzienika preparowanego przez fabrykę wiadomości.

(Dok. n) WŁADYSŁAW WOLERT

Z KSIĘGI PRAW KONIECZNYCH

1. JUŻ ODEJŚĆ CZAS...

Już odejść czas: przez balkon odemknięty
Poranny wiatr, szturmując znagła doń,
Z ulicznych grząd, gdzie szarpie hyjacenty,
Aż tutaj zwiał ich gorzką, smutną, woń.

— O gdybyż módz kłamstwami swych kochanek,
Jak w sieci z róż życie uwięzić w śnie...
Jest szał, gdy noc, jest trzeźwość, gdy poranek:
Krótki jest mrok, a nieskończone dnie.

2. REZUREKCJA.

W ten dzień weselny, o dzwonie stwierdź,
Lejąc swe dźwięki, jak leki,
Że zwyciężone ciemności i śmierć
Przez Żywot, Żywot na wieki.

— Lecz tu nie bije serce jak dzwon
Swoją nadzieją światłości...
Żadna mu droga w jasny dzień on
Rajską się runią nie mości.

Jakież ma widzieć szczęście i raj
Człowiek u tortur swych słupa?
O śmierci, przystań czarną mu daj —
Spokój, ach spokój dla trupa.

3. POSŁANIE.

Jasna nadzieja; szczodra ochota;
Szczęście pogodnej pamięci;
Trzy wspaniałego gwiazdy żywota:
Życzenia, które ślę Ci.

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

NA WIDOWNI

Poeta jako odkrywca psychologii tworzenia. — Motywy ustrojowo - cywilizacyjne w duszy poety. — Jedna jest twórczość. — Dusza narodu w jednostce. — Mężczyzna i kobieta. — Nacjonalizm i liberalizm w sztuce.

O WYDANYM świeżo „Dzienniku“ p. Marji Kasprowiczowej *) będzie mowa w innem miejscu. Tutaj pod bezpośredniem wrażeniem tej niezwykłej książki pragnę podzielić się spostrzeżeniem z dziedziny psychologji genjuszu poetyckiego, mianowicie pragnąłbym wskazać na przykładzie Kasprowicza, w jaki sposób „literatura“ łączy się z życiem, jako jego wyraz. Że się łączy ściśle, o tem można się przekonać przy odpowiednim rozbiorze tekstów; co się tyczy Kasprowicza, ten związek usilnie zaznaczałem w swojej o nim monografji. Brakowało nam jednak poufnych teoryj pisarza. Tak przywykliśmy do oddzielania zjawisk poetyckich od życia, że poglądy pisarza są dla nas zjawiskiem czysto bibljotecznem, a skąd się nawinęły poecie pod pióro, przypisujemy to jakiejś mistycznej sile, zwanej „sztuką”. Studja tego rodzaju, jak p. Kasprowiczowej, dokonywane na osobie poety według jego wynurzeń poufnych, ułatwiają nam drogę od dzieła poety do źródeł jego twórczości.

Pokazuje się, że poeta prawdziwy, to znaczy taki, który 1) nie pisze bez głębokiego wzruszenia i 2) jako artysta, ceniąc sobie te wzruszenia, będące jego p r z y r o d ą d u c h o w ą, — kształci na nich swoją myśl, że poeta taki jest doskonałym wzorem swojej rasy i cywilizacji swego narodu. Zwłaszcza gdy ten poeta jest tak czystej rasy, jak Kasprowicz, i tak jak on jest przedstawicielem najgłębszych, ludowych, odwiecznych pokładów cywilizacji narodowej. Wszystkie doktryny, które Kasprowiczowi zachodziły drogę, odpadały od niego, nie zdołały odegrać roli w jego umyśle twórczym. Mam na myśli krąg zasadniczych zagadnień życia. M u s z ą w nim wziąć górę te nakazy myślowe, które mu narzuca instynkt, to znaczy dziedziczone podświadomie tendencje duchowe.

Naturę natchnień Kasprowicza doskonale pojęła żona:

„Jego twórczość jest ściśle związana z przyrodą. Nie stoi poza nią jako obserwator i myśliciel, tylko wspólnie z nią oddycha i żyje. Dla przyrody, jak i dla niego, życie oznacza tworzenie. A tworzy on równie żywiołowo, jao ona. Nie obmyśla, nie rozważa; wsłuchuje się tylko w dźwięczące w nim głosy. Jest najczystszym typem twórcy“ (s. 79).

Nie miał w sobie nic literata, piszącego dla konceptu czy doktryny: słuchał owego głosu zewnątrz. „Mam wrażenie — mawiał — że większość poetów i pisarzy ostatniej doby to tylko literaci; to nie jest twórczość“ (s. 110).

Kasprowicz zawdzięcza swoją duszę odwiecznej cywilizacji ludowej. Nigdzie dziedzictwo nie jest tak trwałe. W jego rodzie na przestrzeni paru tysięcy lat wstecz nie było w programie życia przodków żadnych obcych wtrętów, żadnych zmian zasadniczych w dążeniach i rytmice uczuć. Widnokrąg czciciela ziemi, słońca, Boga i pracy — zawsze ten sam; z doświadczeń wiekowych przekazywane zasady stały się nieugięte, wszystko inne w umyśle mogło leżeć ugorem, ale gleba wzruszeń stałych w zakresie obcowania uczuciowego z przyrodą, Bogiem i rodziną, a przez rodzinę z narodem, była doskonale uprawna, jeno czekała na przyjście jakiegoś wnuka, którym jej użyczył poetyckiego przejrzenia. W Kasprowiczu zakwitła cudownym kwieciem.

Poeta tego typu, co Kasprowicz, nie lubi, kiedy mu się ktoś wtrąca w jego procesy duchowe, w te jego rozmowy z własnym żywiołem uczuciowym. Zwłaszcza tajemnice jego liryki niedostępne były dla nikogo w obcowaniu osobistem. Z wyjątkiem jednym. Otwierał się dla kobiety, którą kochał. Ona jedna mogła go chwytać na gorącym transie lirycznym. Nie tu miejsce nad tem się rozwodzić, przy sposobności jednak wyznań, jakie czynił żonie, a które ona zanotowała z precyzją psychoanalityka, nawinęły się także poglądy, które mnie tutaj interesują — poglądy na stosunek do narodu i do podstawowej instytucji społecznej — małżeństwa.

W pewnem miejscu żona zanotowała takie jego słowa: „Nie istnieje dla mnie jako dla twórcy, głębsza treść, niż ta, która mieści się w jednem wspaniałem, nie dającem się z niczem porównać słowie: P o l s k a. Sztuka niczem innem nie jest, jak indywidualnym wyrazem duszy, n a j p e ł n i e j s z y z a ś w y r a z t e j d u s z y m i e ś c i s i ę w c u d n e m, n i e z r ó w n a n e m s ł o w i e: P o l s k a. Mówi się, że sztuka powinna być ogólnoludzka. Głupstwo! Prawdziwa sztuka musi być narodowa. Nie wystarczy do tego, ma się rozumieć, fabuła historyczna, Stefan Batory pod Pskowem lub coś w tym rodzaju, powinna jednakowoż mieć w sobie piętno pewnego określonego, w ł a ś c i w e g o d a n e m u n a r o d o w i s p o s o b u m y ś l e n i a i o d c z u w a n i a”.

„Janek — dodaje żona — mówił z takiem wzruszeniem, że głos łamał mu się i drżał” (s. 155).

Widzimy z tych słów, że w poecie wielkiej miary barwa narodowa słowa pochodzi nie tylko z jakiejś tkliwości patrjotycznej, ale że ona jest właściwością natury psychicznego stosunku jego do środowiska i właściwością dla życia duszy tak cenną, że poeta, którego stać na świadomość swych uczuć, uważa tę właściwość za swoją siłę twórczą i nie odstąpi jej przez snobizm dla najpiękniejszej doktryny.

A moja teza jest taka: niema w naturze człowieka specjalnych wynalazków na użytek poezji. Ta sama psychologja jest udziałem wszystkich ludzi. Ludzie wszyscy są w zasadzie twórcami, choć zwykle niemowy. Twórca słowa mówi za nich wszystkich. Dusza Kasprowicza jest modelem duszy polskiej.

Dziwili się ludzie w czasie wojny, spotykając gdzieś w Rosji żołnierzy pochodzenia polskiego, chłopów niepiśmiennych i ciemnych, skąd się w nich bierze dusza polska, skąd oni wiedzą, że należą do narodu polskiego, o którym nie mają jasnego pojęcia, skąd w nich patrjotyzm. Odpowiada na te pytania Kasprowicz: z duszy swojej dowiedzieli się o tem. Poeta ten, nigdy nie posługujący się w poezji wyrazami: Polska, naród, kiedy wybuchła wojna, zawiesił w sobie twórczość, przeżywał mistycznie z narodem to, co się w losach jego ważyło.

„Oddawna nie pisze już nic” — notuje żona. „Chodzę—mówił do niej — i wciąż myślę o jednem— o Polsce. Potrafiłbym wyrzec się wszystkiego... ciebie... dzieci... niech tylko będzie Polska” (s. 249). „Człowiek — mówił kiedyindziej — w którym nie-

*) Marja Janowa Kasprowiczowa. Dziennik. Warsz. 1932. Instytut Literacki. Str. 462.

ma tej potrzeby, aby trwać, aby istnieć jako jednostka, jako naród, jest dla mnie nikczemnikiem, tak, ostatnim wśród ostatnich, niczem“ (s. 202).

Jednem słowem — Polska była dla Kasprowicza nie kategorją pojęciową, lecz faktem psychicznym jego własnej duszy. On sam był cząstką tej większej całości żywej, dzięki której sam żył. Widział duszę narodu, patrząc we własną. Naród był dla niego konkretem, jak przyroda, którą czuł w sobie i wypowiadał. Wzruszał się życiem środowiska w powszedniem obcowaniu z ludźmi, z którymi łączyło go prawo zrostu psychicznego—współczuwanie. Wszelkie poruszenie uczuć w środowisku udzielało mu się w sposób spotęgowany. Słysząc pieśń „Święty Boże”, wyczuwał w sobie, że śpiewają w nim tysiącolecia przodków, które tą pieśnią łączyły się z Bogiem. Przeczytajmy jego piękne wyznania, zrobione żonie:

„Hymn „Święty Boże“ napisałem w Zaleszczykach, gdy pojechałem tam z dziećmi... Któregoś dnia wybrałem się na mszę do kościoła do Kamieńca Podolskiego z moim wielkim przyjacielem ś. p. dr. Czermakiem. Gdy rozległy się dźwięki „Święty Boże, Święty Mocny”, cały naród (lud), jak jeden mąż padł na kolana, bijąc się w piersi i wtórując śpiewem dźwiękom organów. Ten widok wywarł na mnie tego dnia tak wstrząsające wrażenie, że po powrocie do domu zamknąłem się w swoim pokoju i pisałem bez przerwy, bez odpoczynku, kilka godzin z rzędu. W ten sposób napisałem „Święty Boże”. Miałem motyw ten w sobie wiele, wiele lat, próbowałem nieraz go utrwalić, lecz nie znajdowałem wyczerpującej go formy. Gdy skończyłem pisać, byłem jak martwy, zupełnie wyczerpany. Spałem, zdaje mi się, 24 godziny z rzędu”... (s. 156).

Ten fakt świadczy, jak cudownym instrumentem zbiorowości narodowej jest poeta tego typu. A nam prawią, że sztuka jest czemś od życia niezależnem! W fakcie tym mamy nadto dowód, że w ustroju psychicznym poety spoczywał zasadniczy system religijny, któremu wierne były od wieków pokolenia i od którego darmoby się silił wyłamać. Religijność Kasprowicza była chłopska. W duszy swojej miał instytucję kościoła, ołtarz z rozjarzonemi świecami, a zwłaszcza organy. Hymny swoje grał na organach. Gdy ich dźwięki posłyszał, drżał od religijnego wzruszenia.

Przypatrzmy się stosunkowi Kasprowicza do kobiety miłowanej. Dla niego miłość to proste równanie z małżeństwem, to śluby na śmierć i życie, to instytucja małżeństwa, to sakrament. Miłość Kasprowicza — to odnalezienie tej połowy, której mu brakło na to, żeby pełną być komórką organiczną. Stawała się kwestją życia.

„Zdaje mi się, — mówił do żony — że życie moje ułożyło się tak tragicznie dlatego, że zbyt dużo wymagałem od kobiety. Byłem zawsze tego zdania, że tylko kobieta może dać prawdziwą pełnię życia, pełnię twórczości. Do wydania na świat człowieka tak samo, jak i dzieła sztuki, niezbędny jest udział dwu osób. Tylko w zetknięciu i zlaniu dwóch odmiennych pierwiastków rodzi się prawdziwa pełnia uczuć” (s. 84).

W tych słowach wypowiadał się sens głęboki religijnego dogmatu małżeństwa, uświęconego przez kościół. Dla niego to było bezsporne, a to był znowu fakt psychiczny, nie rozumowanie. Stosunek kobiety do mężczyzny w instynkcie Kasprowicza jest wymierzony tak, jak go widzieliśmy u ludu przez wieki. Posłuchajmy tego wykładu:

„Kobieta powinna stać za plecami człowieka tworzącego, to jest jej zadanie, rozumiesz mnie? On pracuje i wie, że gdzieś tam za jego plecami stoi ona, albo siedzi gdzieś na koniuszczku stołu. Jest zadowolony, mówi do siebie: ona tam jest... Na tem się kończy rola kobiety w życiu twórcy, nieznaczna a tak odpowiedzialna, że potrafi ją zrozumieć i dorość do niej tylko kobieta wyjątkowa, jedna wśród tysiąca, kobieta, która sama posiada w sobie pierwiastek twórczy.

„Kobieta nie może być źródłem twórczości. Źródło — to wszechświat, to on sam. Lecz przychodzą chwile, kiedy jest zmęczony, wraca do niej, staje się wtedy ona wszystkiem, światem całym. Czuwa i podtrzymuje go. Jego droga jest uciążliwa, idzie wciąż brzegiem przepaści. „Jestem tu”—mówi ona w ciężkiej chwili i ociera mu pot z czoła, a on kładzie zmęczoną głowę na jej ramię.

„Twórczość jest życiem dla tego kto tworzy, lecz także i walką, ciężką, krwawą walką. Człowiek wykręca się jak może, zanim ją przyjmie. Wówczas to kobieta przychodzi mu z pomocą, pcha go uparcie i niezmordowanie do jedynego celu. Kobieta, która chce być wszystkiem w życiu mężczyzny, to znaczy stać się jego celem, daje dowód swej ograniczoności i egoizmu. Mężczyzna, który na to się zgadza, jest w moich oczach człowiekiem moralnie upadłym“. (s. 185)

To były dogmaty Kasprowicza. Był przecież człowiekiem wolnomyślnym w rzeczach drobnych, wiele postaci życia i poglądów znał, wielu prądom duszę otwierał, ale pod spodem były fundamenty stałe, z których wywodził się styl człowieka i jego dzieł.

Któż w powyższych przytoczeniach nie rozezna stylu starodawnej rodziny patriarchalnej z mężczyzną-twórcą i z kobietą „za plecami“, jako podporą duchową. Zarzućmy tylko pogląd, że twórczość jest prawem jedynie sztuki. Twórczość jest jedna, choć różne jej postacie i różne poziomy. Wielki, kosmiczny poeta taki, jak Kasprowicz, wyciąga twórczość na szczyty wieżyc cywilizacji, gdzie twory ducha, nieba sięgając, głoszą glorję naszego genjuszu twórczego, ale styl tych wieżyc jest ten sam od fundamentów. Motywy z hymnu na szczycie są te same, co w pieśni ludu, korzącego się na dole świątyni. Święty Boże — śpiewa cała budowa cywilizacji żywej, bo tworzącej na wszystkich poziomach.

Ileż to uśmiechów na obliczach ludzi rasy mieszanej, niepomnej rodu, puszczonej na rozdroża bez wskazań instynktu twórczego, gdy im się mówi o duchu narodowym, o pochodzeniu jednostki z duszy narodu, o prawach cywilizacji rodzimej. Niechaj patrzą w duszę Kasprowicza.

Oto co nas, czcicieli ducha narodowego, różni od wyznawców wolnej miłości, którą oni nazywają miłością... ludzkości, — od wyznawców człowieka, który jest istnością bez rodu i bez historji, który tworzy z powietrza, z dowcipu, z... talentu.

Na talentach twórczości oprzeć nie można, wiedzie się ona z genjuszu narodowego. A genjusz to uświadomiona miłość.

To chciałem powiedzieć. I jakże szczęśliwy jestem, że ten fejleton napisać mogłem do spółki z Janem Kasprowiczem, którego wskrzesiła dziennikiem swoim jego powiernica.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W ZNAKOMITEJ MOWIE PROF. OSWALDA BALZERA, wygłoszonej na uroczystem posiedzeniu Tow. Naukowego we Lwowie, znajdujemy miażdżącą krytykę stanu szkół, zapowiedzanej reformy szolnictwa średniego i zamierzonych ograniczeń autonomji uniwersyteckiej. Mowę swoją nestor nauki polskiej i czcigodny obywatel zakończył słowami:

„Zwróciłem uwagę na wszystkie te pomysły nie dla tego, żeby one zasługiwały na nią wewnętrzną swoją treścią i wartością. Nazwano je, zgoła zasadnie, krucjatą dziecięcą przeciw Uniwersytetom, czy na ogół przeciwko szkołom. Gdyby w tem określeniu chcieć przeprowadzić jeszcze jakąś korekturę, możnaby tu użyć wyrażania: krucjata niemowlęca: tyle w niej niedorzeczności, naiwności, dyletantyzmu i nieznajomości rzeczy. Właśnie jednak dla tego nabierają one znaczenia pod innym względem: jako znamienny przejaw chorobliwej psychozy, jaka ogarnia część naszego społeczeństwa.

Jednem z głównych jej źródeł to manja reformowania wszystkiego, reformowania co chwila, reformowania za wszelką cenę; manja, która nam tyle już od czasów odrodzenia naszej państwowości przyniosła szkody. Każda rzecz, nawet najlepsza i najlepiej wypróbowana, przedstawia się w niedowarzonych głowach jeko wymagająca zmiany; stąd ciągle powrotne pomysły reform, nieoparte ani o znajomość rzeczy samej, ani nierozważone dokładnie co do możności zrealizowania, nieraz nieświadomie wznawiające to, na co ludzkość zwróciła uwagę dawno już przedtem, co jednak po przeprowadzonej próbie rzuciła do nieużytecznego rupiecia — wszystkie możliwie błyskotliwe, stuprocentowo oryginalne i niespodziane, żeby „świat zadziwić”, a dla siebie zdobyć palmę genialności, choć w rzeczywistości jest to tylko stygmat dyletantyzmu i osobliwej czasem naiwności.

Niekiedy znajdzie się tu już poczucie pewnych słabych stron u samych reformatorów; cóż jednak szkodzi spróbować podważyć to, co wartością swoją wewnętrzną stoi silnie i wysoko, w płonnej nadziei, że przez to własna maluczkość podniesie się choć trochę wyżej? Wreszcie uderza się czasem taranem o rzeczy naprawdę wysoko stojące dla przeprowadzenia celów ubocznych, nieraz stronniczo zaprawionych; działa tu już nie tylko dyletantyzm, ale i godna potępienia intencja.

Wszystko razem dąży do podważenia podstaw kultury, która jest najwyższym skarbem narodu, główną naprawdę legitymacją jego bytu i jego dziejowej misji. Tego rodzaju ataki niepoczytalnych czy złośliwych puszczyków i podjadków trzeba otóż napiętnować, jak na to zasługują; trzeba przed nimi ostrzec te warstwy społeczeństwa, które rzeczy takie biorą mniej krytycznie, a zarazem zwrócić uwagę na nieobliczalne następstwa, jakie akcja ta, gdyby przyniosła wyniki, pociągnąć może za sobą.

Z kulturą naszą, tak bujnie i wielostronnie rozwiniętą, przetrwaliśmy zwycięsko blisko półtorawiekowy okres braku państwowości; jaka czekałaby nas przyszłość mimo odrodzoną państwowość, mimo utwierdzanie jej różnemi środkami materjalnej treści, gdyby równocześnie podważono i umniejszono walory kulturalne, nad tem zastanowić się należy najpoważniej.“

ATAK NA MŁODZIEŻ NARODOWĄ W KALISZU, dokonany przez władze policyjne 29 czerwca, budzi poważne refleksje. Na zjazd regjonowy Obozu W. Polski w Kaliszu podążyła młodzież patrjotyczna z okolicy i z południowych powiatów woj. Poznańskiego. Czyniono jej przeszkody w Ostrowie, a w Kaliszu, gdy pochód z kościoła zbliżał się do sali zebrań, policja pobiła uczestników i posła Piestrzyńskiego, znanego publicystę z Poznania. Pomocnik starosty p. Namysłowski nie umiał tego zarządzenia wytłumaczyć.

Fakt ten wywołał bardzo smutne wrażenie i liczne w prasie komentarze. Komu i dlaczego nie podobał się zjazd patrjotów, którzy mieli na zebraniu zająć stanowisko manifestacyjne wobec zakusów antypolskich Niemiec? Czyżby w ten sposób wykonywany był jakiś plan polityczny?

W Berlinie wielka z tego powodu radość, tudzież w Izraelu. Przed miesiącem żydzi z wielką powagą pod opieką policji urządzali pochód głównemi ulicami Kalisza. Obecnie wyśmiewają Polaków. Polacy, w ten sposób w swoim kraju traktowani, nie umieją ani sobie, ani Niemcom, ani Żydom wytłumaczyć tego, co się dzieje. Bo gdyby nawet miał być wykonywany plan przyjaźnji polsko-niemieckiej, o którym krążą wersje *via* Paryż, to dlaczego zaczynać go od aktów nieprzyjaźni wobec rodaków?

BARDZO RZADKO DOSTAJĄ SIĘ NA JAW fakty z działalności wiceministra S. Z. p. Becka. Obecnie „*Figaro*“ paryskie ogłosiło wywiad p. Sanvoisin u I. Paderewskiego. Oto fragment rozmowy („Gaz. Warsz.“, nr. 198):

„Poruszam punkt delikatny — pisze p. Sanvoisin. — Niedawno w artykułach dziennikarskich zrobiono aluzję do projektu bezpośredniego porozumienia między Polską a Niemcami. Sprawa „korytarza“ miałaby być załatwiona drogą „słusznych kompensat“. Przemożną rolę w tej sprawie miałby odgrywać pułkownik Beck, podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych; sprawa ta stałaby w związku z wyjazdem z Warszawy naszej misji wojskowej...

— Którą zainstalowałem niegdyś, przerywa p. Paderewski. — Mam zaufanie, dodaje, do p. Załeskiego, ministra spraw zagranicznych, do jego wypróbowanego patrjotyzmu, zdrowego sensu i pozytywnej metody. W dodatku, żyjąc w oddaleniu od swojego kraju oddawna, straciwszy kontakt bezpośredni z jego życiem publicznem, muszę zachować szczególną rezerwę“...

Mowa, jak widzimy, o losach Polski. Zrozumiałą też jest rzeczą, że płk. Beck jest osobą, o której się w Polsce wiele mówi, oczywiście po cichu.

PRZESTROGA. Pojawiło się niedawno w polskiej prasie narodowej sprawozdanie z książki włoskiej, omawiającej polską poezję współczesną. Autor książki p. W. Giusti do poetów polskich zalicza panów Tuwima, Słonimskiego, Wittlina, Bruno Jasieńskiego, Peipera, którzy są żydami, a działalnością swoją pisarską propagują bolszewizm. Polska prasa narodowa, niestety, nie opatrzyła sprawozdania uwagą redakcyjną, w której powinna była błąd autora włoskiego wytknąć i sprostować. Uwagę przeto naszą adresujemy po-

nad prasą odnośną wprost na imię włoskiego sprawozdawcy i włoskiego autora.

Ich błąd nie jest mniej lub więcej znaczącym błędem literackim, lecz wkracza w dziedzinę polityczną i bezwiednie służy sprawie żydowskiej a przeciw sprawie zarówno polskiej, jak włoskiej. Wiadomo, że jednym ze sposobów polityki żydowskiej jest podszywanie się żydów pod nazwę tego narodu, który odwewnątrz psują i rozsadzają. Z biegiem czasu w sztuce, literaturze, nauce i polityce takiego narodu gromadzi się mnóstwo żydów, których na cały świat, jako jedynych tego narodu przedstawicieli, rozsławia międzynarodowa, świetnie zorganizowana reklama żydowska.

Ponieważ żydostwo operacji tej dokonywa jednocześnie na wielu narodach europejskich, więc wkońcu w zakresie, naprzykład, literatury imię i sławę zyskują sami żydzi (z małą okrasą „tybylców" — dla niepoznaki). W Italji, Francji, Anglji i t. d. znani są żydzi piszący po polsku, jako literaci polscy, w Polsce zaś — żydzi piszący po francusku, jako literaci francuscy, a żydzi piszący po włosku, jako literaci włoscy — i tak dalej naprzemian we wszystkich kierunkach geograficznych i etnograficznych. W wyniku ostatecznym w reklamowej sieci kultury narodów europejskich znajdą się sami żydzi, co już w dużej mierze względem niektórych narodów osiągnięto. A że prasa wszędzie w znacznej części jest na usługach żydostwa, a niezależna prasa narodowa niezawsze w tych sprawach się orjentuje, więc połów idzie łatwo, a to tembardziej, że byle śledzia reklamuje się, jako wieloryba literatury.

Do takiego oszustwa przyłożył ręki pan W. Giusti i jego sprawozdawca — pan d'Armili, obaj w dobrej wierze i bezwiednie, ale niemniej skutecznie. Oszukane są obie publiczności czytające — i włoska i polska. Jeśli uwaga ta dojdzie do wiadomości obu wymienionych pisarzów, pragnęlibyśmy dodać do niej jeszcze przestrogę: nie należy lekceważyć lub osłaniać obecności kryptożydów w żadnej dziedzinie. Podobno jest ich sporo w ruchu faszystowskim. Jeżeli tak, to zgóry można zapewnić, że faszyzm odśrodka tyle toczy korników cichych a pracowitych, ilu w nim kręci się żydowskich „entuzjastów". *Sapienti sat!*

NAUKA I LITERATURA

JESZCZE STELLA OLGIERD

W NUMERZE 21 „Myśli Narodowej" ukazały się w rubryce „Nauka i literatura" uwagi, podpisane inicjałami A. M., na temat przekładu „Wyspy słonecznej" Somerseta Maugham przez panią (czy pannę) Stellę Olgierd. Tak się złożyło, że na mojem biurku leżał od kilku tygodni artykuł o tym samym przedmiocie i w tym samym duchu. Sprawę uważam za ważną, nie zadowalam się więc tem, że mnie p. A. M. wyręczył, zresztą tandetę literacką trzeba piętnować, a im więcej głosów odezwie się zgodnym chórem, tem lepszego skutku można oczekiwać. Zdarzyło się zaś tak, że z obfitego materjału błędów i nonsensów, jakie Stella Olgierd zwaliła na barki Somerseta Maugham, p. A. M. i ja wybraliśmy zupełnie inne przykłady (fakt jest nie bez kozery). Mimo więc pewnych łatwo zrozumiałych zbieżności ogłaszam dziś artykuł w niezmienionej formie.

Pisząc niedawno w dodatku literackim „Kurjera Lwowskiego" o Somersecie Maugham, określiłem go z pewnemi zastrzeżeniami jako cynika. Powiada Makbet, że przed karą wieczną spotyka nas nieraz kara już na ziemi. Na Somerseta Maugham jego doczesna kara już spadła. Jego zbiorek nowel „Słoneczna wyspa" przełożyła na język polski Stella Olgierd.

Nie wiem, czy to bardzo litewskie nazwisko jest rodowe czy przybrane. Nie mam do jego właścicielki żadnej osobistej urazy. Niewiadomo mi, aby należała do Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet lub do Strzelca. Wiem, że pisuje powieści, lecz żadnej — bodaj że na szczęście — nie czytałem.

Postanowiłem jednak przekłady tej pani potraktować tak, jak na to zasługują. Swego czasu miałem sposobność stwierdzić, jak oporządziła „Kulę i krzyż" Chestertona. Mimo osobistej znajomości z autorem, zawahałem się przed atakiem na damę. Widzę jednak, że Stella Olgierd jest — nie wiem ilokrotną — recydywistką. Staję się więc nieżyczliwy i piszę.

Ażeby tłumaczyć, trzeba przedewszystkiem dobrze rozumieć dwa języki w ich wszelkich odmianach, potocznej, salonowej, poufałej, ulicznej i t. d. Trzeba w pracę włożyć nieco staranności. To warunki kardynalne, ale na nich nie koniec. Trzeba jeszcze mieć pewną znajomość życia, obyczajów i urządzeń narodu, z którego języka się tłumaczy, a językiem, na który się tłumaczy, władać poprawnie i, o ile możności, z pewnem zacięciem literackiem. Stella Olgierd nie ma żadnego z tych warunków. Ma tylko tupet i słownik.

Specjalna organizacja uniwersytetów angielskich odbiła się w terminologji. Ludzie, którzy zdobyli stopień naukowy i korzystają ze stypendjum dla dalszej pracy, nazywają się *fellows*. Stypendjum to, a równocześnie ich stanowisko określa się jako *fellowship* (*fellow* = towarzysz, członek jakiegoś ciała + końcówka = *ship*, identyczna z niemiecką = *schaft*, a odpowiadająca mniej więcej polskiej *two*). Nieszczęściem *ship* oznacza także okręt. Gdy więc Chesterton napisał, że ktoś miał *fellowship* w Magdalen (College) w Oxfordzie, Stella Olgierd zrobiła z niego urzędnika towarzystwa okrętowego w Magdalen.

Prócz słownika widać i encyklopedję. Jeden z bohaterów „Kuli i krzyża" jest potomkiem sławnego za czasów zamieszek jakobickich Lochiela, wodza klanu Cameron. „Zawrzała w nim krew tego Camerona" tłumaczy Stella Olgierd i dodaje notę, że Cameron był to podróżnik angielski, który pierwszy przeszedł wszerz Afrykę (a więc ojciec chrzesny Kamerunu). Bez tej noty byłoby się chyba obeszło.

Za co pokarany został Chesterton, nie wiem (może za antysemityzm?) Somerset Maugham zapewne za swój sceptycyzm i cynizm. W każdym razie ciężko.

Nie mam pod ręką oryginału, ale przez przekład Stelli Olgierd przeziera on czasem dzięki szorstkiej dosłowności.

Lekarz odwiedza chorą, której poprzednio zastosował zastrzyk podskórny i zastaje ją siedzącą. „Dlaczego się pani podnosiła?" — woła *Why have you risen?* — musiał być tekst angielski. Ale po polsku ludzie nie podnoszą się z łóżka, lecz poprostu wstają (str. 85).

„Twarz była cała nabrzmiała i pomarszczona od krzyku" pewnie od płaczu. Angielskie *to cry* oznacza zwykle płacz (str. 87).

„Walker nie podejrzewał niechęci ku sobie, wzrastającej w piersi jego podwładnego" — zapewne swego podwładnego (str. 106).

„Walker nie lubił ludzi, należących do ciała medycznego — pewnie do zawodu lub fakultetu (po angielsku było pewnie *the medical body).* (113)

„Niech pan sobie przypomni nóż rzucony poprzedniej nocy". W angielskiem było pewnie *the other night*, powinno więc być „pewnej nocy". (134).

(Mowa o grze w pikietę). „Dałem pani czternaście atutów" — zapewne czternaście asów, króli czy innych figur (str. 136).

„Powlókł się ku swemu *bungalowi* po książkę". Przyswojone z indyjskiego słowo, oznaczające nieobliczony na trwałość domek letni, brzmi *bungalow*. Powinno więc być „*bungalowowi*", ewentualnie bez końcówki „ku swemu *bungalow*" (139).

„... kilku młodzieńców, którzy łowili ryby, wracając z powrotem" do wioski, napotkali bryczkę (str. 141).

„... zarys postaci człowieka, przechylonego z siedzenia ku błotnikowi". Jest taki wyraz staropolski, ale czy archaizm jest na miejscu? (141).

„Jakiż on był?" Zapewne, jak wynika z tekstu *How was he?* Więc „Jakże się miał?" lub „Co z nim słuchać?" (149).

„Arnold Jackson był najczarniejszą z owiec, jaką kiedykolwiek mogła mieć wśród siebie rodzina". Anglik spotwarza niewinną czarną owcę, my jesteśmy sprawiedliwi i mówimy w tem znaczeniu o parszywej (157).

„Obiad ciągnął się w dalszym ciągu. Częstowano Batemana różnemi potrawami, rybą surową i sam nie wiedział czem jeszcze, które kosztował jedynie przez dobre wychowanie." Czyżby „które" odnosiło się do „jeszcze"? (179).

„... jakby był conajmniej jakim księciem kościelnym. O ile mi wiadomo, książęta dziś rzadko obierają zawód kościelnego, a kościelni równie rzadko otrzymują tytuł książęcy. Po polsku mówi się o księciu Kościoła (182).

„... ananas, pokrojony w kawałki". A może pokrajany? (211).

To chyba dosyć Dobrze mu tak, cynikowi! Mamy tu jednak i kwestję ogólną. Od takich przekładów bieleje włos. Jestem wielkim zwolennikiem belletrystyki angielskiej i cieszę się każdą, przyswojoną naszemu językowi powieścią, ale tu są jedynie powody do oburzenia. Znam stosunki wydawnicze, wiem, jak licho płatna jest praca tłumacza, a tanie mięso najczęściej psy jedzą. Czasy są ciężkie, więc trzeba chwytać zajęcie, jakie się nadarzy. Ale wszystko ma swoje granice, których niewolno przekraczać.

Kulturalna Polska musi bronić się przed tem, aby z niej kpiono w żywe oczy. Dlatego popełniłem dziś okrucieństwo i uważam, że gdyby równie okrutnie postępowano z każdym objawem podobnym, zdarzałyby się one coraz rzadziej, ażby znikły zupełnie.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Prz. Red. Autor notatki A. M., na którą powołuje się prof. Tarnawski, wyraził przypuszczenie, że Stella Olgierd jest żydówką, biorąc zapewnie jej nazwisko za pseudonim. Tymczasem informują nas, że jest to przypuszczenie mylne. Dzisiejsza p. Olgierdowa (nazwisko litewskie), z domu Łazarska, jest córką dziś już nieżyjącego dr. Łazarskiego, cenionego działacza narodowego w Małopolsce Zachodniej.

GYP

TELEGRAMY doniosły o śmierci hrabiny Gabrieli Marji Antoniny de Martel de Janville (z domu Riquetti de Mirabeau) słynnej francuskiej powieściopisarki, drukującej swoje utwory pod pseudonimem Gyp.

Najmłodszym „rocznikom" czytelników powojennych pseudonim ten niewiele mówi, ale pokolenie naszych matek, w czasach gdy były młodemi dziewczętami, zaczytywało się w jej powieściach.

„Pani Gyp" praprawnuczka wielkiego Mirabeau urodziła się w Bretanji, w zamku Koët-Sal 15 sierpnia 1849. Miała niespełna trzy lata, gdy ją przewieziono do Lotaryngji, gdzie spędziła dzieciństwo, ale na całe życie zachowała gorące przywiązanie do prowincji rodzinnej, do bretońskiego wybrzeża, do zatoki Morblihanu.

Z przywiązania tego spowiada się w książce p. t. „*Souvenirs d'une petite fille*". Wynurzenia owe są niespodzianką u autorki, która nie grzeszyła wcale sentymentalizmem i nie była zgoła marzycielką.

W dzieciństwie gardziła podobno lalkami. Najulubieńszą jej rozrywką była jazda konna. Nauczycielki miały z nią dużo kłopotu, zanim zdecydowano się ją oddać na pensję klasztorną. Rodzice zajmowali się nią mało. Największy stosunkowo wpływ na jej rozwój duchowy miał nieodłączny przyjaciel jej dziadka, p. de Gonneville, pułkownik gwardji cesarskiej. Jemu to — jak sama wyznaje w książce wyżej wymienionej — zawdzięczała pierwsze wiadomości o historji swego kraju.

W dwudziestym roku życia wydano ją za mąż za hrabiego de Martel de Janville, światowca i sportsmena. W pięć lat później rozpoczęła karjerę literacką na łamach „*Vie Parisienne*".

Tygodnik ów nie był podówczas (trzeba o tem pamiętać) czasopismem tak płasko-pornograficznem, jakiem jest dzisiaj. Najświetniejsze pióra humorystów francuskich zapełniały jego szpalty utworami prawdziwie dowcipnemi, ilustrowanemi przez znakomitych rysowników. Artykuły pani Gyp zwróciły na siebie uwagę krytyków i były z wielkiem zainteresowaniem czytywane przez publiczność. Uznanie, z którem się spotkała skłoniło ją do wydania pierwszych tomów *Autour du mariage*, *Autour du divorce*. Odniosła sukces. Podziwiano jej werwę, dowcip, zmysł obserwacyjny. Upodobawszy sobie typ modnego podówczas opowiadania udyalogowanego, wydała długi szereg tomów (przeszło trzydzieści) z pośród których zacytować wypada: *Elles et lui*, *Sans voile*, *Mademoiselle Eve*, *Joies conjugales*, *Mademoiselle Loulou*, *Petit bleu*, *Ohé les psychologues!* *O Providence!* *Ces bons docteurs*. *Du haut en bas*. *Le mariage de Chiffon*, *Friquette* etc. etc.

Produkowała masowo, nie wiele się troszcząc o to, ile utworów jej wytrzyma próbę czasu.

Najtrwalszemi prawdopodobnie okażą się te, w których odmalowywała siebie. W całym szeregu jej książek występuje typ dziewczyny szczerej, pełnej werwy, zuchwałej, pozbawionej przesądów snobistycznych, ale należącej do t. zw. „świata". Ideałem tej panny nie jest bynajmniej wolna miłość. Pani Gyp była zwolenniczką małżeństwa z miłości.

Największem powodzeniem ze wszystkich jej książek cieszył się *Petit Bob*, wydany w r. 1882. Mały Bob to bliźni brat Hugo'wskiego Gavroche'a, chociaż jest postacią bynajmniej nie epiczną. Ma zato bez porównania więcej cech prawdziwych, niż bohater „Nędzników".

Pani Gyp nie przestała tworzyć do ostatniej chwili. Od ćwierć wieku mieszkała w Neuilly sur Seine. Straciła na wojnie wnuka. Była gorącą patrjotką. Podczas wojny piętnowała gryzącą satyrą tych, którzy na nieszczęściu kraju robili majątki. Przeżyła upadek drugiego cesarstwa, asystowała narodzinom trzeciej republiki. Odzwierciadliła w swojej twórczości duży szmat obyczajowej historji swego kraju.

SIGMA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W d. 28 czerwca odbyło się we Lwowie doroczne uroczyste posiedzenie Tow. Naukowego. Zagaił je obszerną mową prezes Tow. prof. Oswald Balzer. Oprócz sprawozdania mowy Balzera zawierają zawsze jakiś wykład. Tym razem mowa poświęcona była sprawie naszego obecnego szkolnictwa. Czynniki kierujące systemem wychowania powinny wziąć pod baczną uwagę opinję wielkiego uczonego i patrjoty. Prof. Balzer stwierdził zły stan szkół obecnych pod względem rezultatów edukacji, jaką dają młodzieży. Stan ten znacznie się pogorszy po zapowiedzianej reformie. Społeczeństwo na wagach zdrowego rozsądku zważy autorytety Balzera i p. Jędrzejewicza; niestety nie prof. Balzer decyduje o losach wychowania. Większą część mowy prof. Balzer poświęcił obronie szkół wyższych od zamierzeń ograniczenia ich autonomji.

Prezes użalał się na brak środków. Rząd, który przed dwoma laty udzielił Tow. zapomogi 24.000 zł., w roku 1931 dał tylko 2 000 zł. Z funduszu kultury Tow. otrzymało 10.000 zł. To pozwoliło ciągnąć dalej pracę wydawniczą. Wydano 1 pracę z archeologji, 1 z historji sztuki, 1 z hist. literatury, 3 z hist. prawa, 2 przyrodnicze. W wydziałach i sekcji (sztuki i kultury) w ciągu roku było 27 posiedzeń naukowych z 59 referatami.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Jaka szkoda, że Sarbiewski polskich wierszy nie pisał!" wołał w swej niezastąpionej „Historji literatury niepodległej Polski" prof. Chrzanowski. Refleksja słuszna! — bylebyśmy tylko mieli gwarancję, że „Horacjusz polski" pisałby równie piękne wiersze polskie jak łacińskie i że zdołałby się ustrzec od tych nagminnych wówczas wad stylistycznych, jakie nas rażą w jego polskich kazaniach. Zamiast jednak bawić się w zdania warunkowe—*conditio realis* czy *irrealis*— stwierdzić należy, że Sarbiewski jako poeta łaciński, sławny na całą Europę, uwieńczony przez papieża, a po dziś dzień czytywany w gimnazjach angielskich, oddał nam usługę może nawet większą, niż gdyby pisał po polsku. W każdym razie na przekład polski — i to jak najlepszy — utwory te zasłużyły zarówno przez swą wartość literacką jak i przez wzgląd na sentyment narodowy. A o przekładach dawno pomyślano, bo jeszcze w XVII w. (Libicki, Twardowski, Zb. Morsztyn, Gawiński). Potem brali się do przekładów przedewszystkiem konfraterowie Sarbiewskiego, jezuici: Bohomolec, Naruszewicz, Załęski, Wł. Piątkiewicz i Karyłowski. Brali się też do tych przekładów zawodowi niejako „polszczyciele" poezji polsko-łacińskiej, trzej wybitni poeci: Brodziński, Syrokomla i Ejsmond. Ostatniemi czasy wprowadzono lekturę utworów Sarbiewskiego do programu nauczania łaciny, wobec czego poeta ten stał się bliższy szerszym kołom czytelników, wynikłe stąd zainteresowanie objawiło się m. in. w szeregu nowych, przygodnych tłumaczeń.

Nowego, całkowitego przekładu „*Silviludjów*" („Igraszek leśnych") podjęła się Marja Bednarowska, zapewne córka znanego filologa. Przekład ten, wydany w „Bibljotece Filomaty" (cykl przekładów p. t. „Parnassus") jest wierny, a językowo najzupełnie poprawny, jednakże w przekładzie poetyckim to jeszcze nie wystarcza: musi być polot, a przytem danie nastroju podobnego, jaki bije z oryginału. Otóż na tym punkcie przekład p. Bednarowskiej niezawsze zadowala; brak mu tej pieśniwej miękkości, jaką ma—*settocentowy*, bądź co bądź—utwór Sarbiewskiego. Z tego też punktu widzenia przekład powinien mieć nieco formalnego kunsztu; zbyt proste wysłowienie, rymy gramatyczne — to nie wada jeszcze, ale też nie zaleta. Prawda, że Sarbiewski w tych szerokich pieśniach nie krępował się zgoła tradycyjną rytmiką klasyczną i pisał *pede libero* (rozbiór krytyczny przedstawiony został w VI roczniku „Przeglądu Humanistycznego"), ale i prymityw literacki jest rzeczą wymagającą — wprawnej ręki. (J. B.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Aktualne informacje przynosi broszura dr. Heinsa Brauwellera p. t. „*Generale in der Deutschen Republik*" *(Tell - Verlag, Betou)*, w której znajdujemy wiadomości o ży-

ciu generałów Groenera, von Schleichera i von Saeckta oraz o ich udziale w organizacji Reichswehry i polityce niemieckiej. Autor odnosi się z sympatją do swoich bohaterów. (S. K.)

*

W wydawnictwie włoskiem *„Edizioni d'Italja"* w szeregu innych książek o wybitniejszych walorach, stanowiących cykl *„Documenti"* i poruszających zagadnienia z dziedziny ustroju państwowego, filozofji prawa, socjologji i polityki, ma się ukazać niedługo przekład pracy Jerzego Kuncewicza p. t. *„Riconstruzione"* (Przebudowa), podającej, jak wiadomo projekt przyszłego ustroju społeczno - państwowego, gdzie niejednokrotnie rozwiązuje autor w sposób przejrzysty zawiłe dotychczas zagadnienia konstytucyjno-twórcze. W innych krajach wszelkie książki traktujące poważnie o tej lub innej formie ustroju państwowego są ogromnie poszukiwane. W Hiszpanji, jak to już informowaliśmy w swoim czasie czytelników, rozchwytywaną książką była praca Jeronimo Garcia Gallego: „Rządy konstytucyjne, zwierzchnictwo narodu i przyszły ustrój państwowy". W Polsce szczęśliwym wyjątkiem jest praca Romana Dmowskiego „Świat powojenny i Polska", która doczekała się kilku wydań. (F. B.)

*

Utalentowani pisarze hiszpańscy za punkt honoru uważają dla siebie pisanie dla dzieci. Jednym z najbardziej popularnych autorów książek dla dzieci jest Antoniorrobles. Ostatnia jego książka *„Cuentos de los juguetes vivos"* (Bajki o żywych zabawkach) cieszy się ogromnem powodzeniem w szerokich kołach miłośników słowa drukowanego (i obrazków), dla których jest przeznaczona. Antoniorrobles umie wczuć się w duszę dziecka, stąd też potrafi budzić sympatje dla siebie i dla swoich książeczek. Autor tego rodzaju ma oczywiście ogromny wpływ na wychowanie młodej generacji, co z uznaniem podnoszą krytycy. Antoniorrobles nie zbliża się jednak do nich jako pedagog, lecz poprostu jakby współtowarzysz ich zabaw. (F. B.)

NOWE KSIĄŻKI

Zoologja. T. II. Poradnik dla samouków pod red. St. Michalskiego. Warsz. 1932. Kasa im. Mianowskiego. S. X i 554.

Rolicki Henryk. Zmierzch Izraela. Warsz. 1932 Skład gł. w admin. „Myśli Narodowej". S. 423. (Cena 10 zł.)

Śliwiński Artur. Joachim Lelewel. Zarys biograficzny (1786 — 1831). Wyd. II. Warsz. 1932. Kasa im. Mianowskiego. S. XII.

Mańkowski Alfons. *Fontes.* XXV. Toruń 1931 Tow. Naukowe w Toruniu. S. 185.

Lietke Antoni ks. Walka księcia Jana Opolskiego Kropidły z Krzyżakami. Toruń 1932. Tow. Nauk. w Toruniu Roczniki, 38.

Łaszczyński Witold. Wysoki próg. Poezje. Warsz. 1932. Dom Książki Pol.

Piszczkowski Miecz. O Janie Zahradniku Z przedmową Ig. Chrzanowskiego. Warsz. 1932. Dom. Ks. Pol. Str. 81.

Suchodolski Bogdan Stanisław Brzozowski i Aleks. Świętochowski. Warsz. 1932. Str. 15.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu. T. VIII, nr 9 — 10 i 11 — 12 (za r. 1931).

Kazecka Marja. Kwiaty dalekie. Wiersze. T. V Lwów 1932. „Oświata".

Sprawozdanie Śląskiego Instytutu rzemieślniczo-przemysłowego za r. 1931. Katowice. S. 319 (z ilustr.).

Glass Henryk. Na szlaku małego wilka Z podziemi ku Polsce. Z przedmową Józefa Hallera. (Poznań 1932). Księg. św. Wojciecha.

Rundt Artur. Sowiety tworzą nowego człowieka. Wrażenia z podróży. Warsz. 1932. Wyd. Nowocz.

Łobodowski Józef. W przeddzień. Lublin 1932. (Poezje).

Brzechwa Jan. Trzeci krąg. (Poezje). Warsz. 1932 Geb. i Wolff.

Kozicki Władysław. Syn marnotrawny. Trzy akty z prologiem. Lwów 1932. B. Połoniecki.

Birkenmajer Józef. Wycieczka. Poezje. Warsz. 1932. Dom Książki Pol.

Szerer Mieczysław. Polsce grozi pokój. Warsz. 1932. S. 29.

Surzycki Stefan prof. Wyższy naukowy kurs spółdzielczy przy wydziale rolniczym Un. Jag. Warsz. 1932. Spół. Inst. Naukowy. Bibl. Spół. 21.

Kościałkowski Wład. Pocz. Kasa Oszcz. na emigracji. Warsz. 1932. Pol. Tow. Emigr. S. 32

OFENSYWA

POLSKI KALIBANOW

W SOWIETACH zdecydowano spotęgowanie walki ze wszystkiemi religjami i wiarami. Odpowiedni ukaz wyszedł dnia 1 maja z podpisami Stalina, Bechterewa, Jarosławskiego, Kagana i t. p. „Bezbożna Piatiletka" ma na celu likwidację wszystkich wyznań religijnych, stowarzyszeń cerkiewnych i sekt na terytorjum związku sowieckiego, niezależnie od ich pryncypialnego stosunku do władzy sowieckiej. (*„Mołodoj Awangard"*).

Dekret składa się z 5 części i zawiera 118 punktów. Do 1 maja 1934 r. wszystkie świątynie wszystkich wyznań i sekt mają być zamknięte. Do 1 maja 1937 r. samo pojęcie Boga ma być raz na zawsze wykreślone także i z mózgów. Informujący o tem „Czas" krakowski pisze:

„Jeden z przywódców akcji bezbożnictwa Kalibanow oświadczył na 15-tym zjeździe W. K. P.: „Gniazda kultu i bałwochwalstwa zmienimy na źródła samokształcenia komunistycznego. Miejsce popa, księdza i rabina zajmie nauczyciel! Wiek bezmyślnych szamanów skończony — popowskiego gadulstwa nikt już nie słucha!..."

I tenże towarzysz Kalibanow w 10-ym numerze tamtejszych Boyowych Wiadomości t. j. w *„Woinstwojuszczijm Bezbożniku"* zapowiada, że:

„piatiletka bezbożnictwa będzie miała dla scementowania związku sowieckiego i stworzenia nowych kadrów komunistycznych o wiele większe znaczenie, aniżeli wiele Magnitorgów i Turksibów".

W realnej praktyce dnia codziennego zwróci się to przedewszystkiem przeciw Chrześcijaństwu. Świadczy o tem jedna z odezw „Związku Bezbożników", liczącego pono 5 miljonów członków a 10 tysięcy jaczejek, tej treści:

„Robotnicy wszystkich krajów, wzywamy was, abyście rozpoczęli walkę dla obalenia chrześcijaństwa. Udało się nam w krótkim czasie bo w ciągu kilku lat, położyć kres kazaniom chrześcijańskim. Zamknęliśmy kościoły i domy modlitwy i przywiązaliśmy człowieka do rzeczy materjalnych. Urzeczywistnienie „piatiletki" doprowadzi także do całkowitego zniszczenia chrześcijaństwa wewnątrz republiki sowieckiej... Pamiętajcie o słowach Lenina: „Religja, to opium dla ludu".

Że wyznania chrześcijańskie pójdą na pierwszy ogień to już postara się o to stojący obok Kalibanowa szef akcji bezbożniczej słynny towarzysz „Jarosławskij" *recte Gelphand*, zwany w Sowietach *„sokruszytielem niebies"* t. j. pogromcą nieba. Do kontrolowania literatury, aby przypadkiem w niej nie wypowiadały się tęsknoty transcedentalne i antimaterjalistyczne są dwaj inni żydowscy kontrolerzy: zażarty Litwakow i zajadły Auerbach.

Co zaś dzisiejsi świetni miejscami pisarze sowieccy cierpią za tortury duchowe od tych trzech żydów: Litwakowa, Auerbacha i Jarosławskiego, o tem można było czytać wiele w ostatnich trzech latach. To są cenzorzy-inkwizytorzy, którymi posługuje się rząd. Kalibanow zaś to widocznie główny archiagitator, propagator, apostoł bezbożnictwa, hetman piekielnych zastępów w walce na śmierć i życie z księżmi, z popami, lamami, szamanami, rabinami no ale przedewszystkiem z duchowieństwem prawosławnem i rzymsko-katolickiem. Że to ostatnie nadal tropione jest i prześladowane przez Gelphandów i Kalibanowów, o tem świadczy fakt, że na wyspach Sołowieckich (zwanych teraz popówkami) przebywa w katordze 136 księży katolickich, prawie bez wyjątku Polaków.

Nie tak dawno przeszła przez prasę wiadomość o męczeńskiej śmierci spalonego przez podjudzonych chłopów w Dolnych Gajach księdza Piotrowskiego. W niemieckiej prasie zbiegły z Bolszewji inżynier W. Malchert opowiadał świeżo o męczeńskiej śmierci w obozie koncentracyjnym pod Archangielskiem księdza Ścieklińskiego z Kijowa:

„Ks. Ściekliński znalazł się w obozie koncentracyjnym wskutek wyroku GPU, skazany za rzekome szpiegostwo na 10 lat zesłania. Znękany strasznemi przeżyciami w obozie, postanowił wraz z kilku towarzyszami niedoli uciec na włoski okręt ładujący w Archangielsku drzewo. Pojmany wraz z towarzyszami wskutek denuncjacji, skazany był na karę chłosty".

Wreszcie ulitował się nad mękami księdza Ścieklińskiego przeprowadzający egzekucję komunista i zastrzelił go. Tych 136 zesłańców na Popówkach czeka wnet los podobny... Towarzysz Kalibanow nie dla żartów grozi przepędzeniem ze Sowietów Boga i jego „pachołków".

A tymczasem w Warszawie w swojem wytwornem *home* i *studio* siedzi sobie przy biurku wygodnie pan Żeleński

(Boy) i kieruje całą ofensywą przeciw polskim klechom, mnichom i biskupom. Jak ma „życie ułatwione“, tak ma i ułatwioną akcję przeciw „reakcji“. W rezerwie trzy i pół miljona żydów uwielbiających go zaraz po pierwszym oblubieńcu najgoręcej, najnamiętniej, najżarliwiej, wpatrzonych w Boya jak w drugiego Jozue, co jak słońcu tak katolicyzmowi w Polsce rozkaże: *sta sol! ne movearis:* stań, nie ruszaj się, *ruki w wierch i pod stienku!* Za rezerwami żydowskimi stoją rezerwy Judosłowian, samouków, samokształceńców, półinteligencji, belfrów ludowych i gimnazjalnych, dygnitarzy ministerjalnych i administracyjnych, uważających także „religję za opium“, jako że im Pan Bóg przeszkadzać może w rozdrapywaniu kas, w kupowaniu majątków.. na Pomorzu i Wielkopolsce, w przekupstwie i w porubstwie, w sadyzmie i terroryzmie, w korrupcji i nepotyzmie, w drugim Brześciu i w nowych „pacyfikacjach“.. Przeciw temu władztwu nad Polską „djabła zwycięscy“ protestują raz po raz „klechy“ i obóz „Klechistanu“ broniący. *Indae irae* i *dołoj la culotte!* Hetmani zaś dywersantom cadyk ze Smolnej doktór Żeleński.

Że jest apostołem „ułatwionego życia“ (aż do „siu . . . . ia pod siebie“), więc i metodę walki z klerykalizmem, obskurantyzmem, ciemnotą i Ciemnogrodem ułatwia sobie w ten sposób, że skonstruował dla czytelników przeciętny, fikcyjny, pałubiczny typ księdza katolickiego i w przez siebie ulepione takowe *monstrum prodigium* taranem jak zwykłą oślą głową zakończonym raz po raz bije. Ale podczas kiedy jego dwaj główni giermkowie (jeden odszczepieniec z typowem u renegatów rozdrażnieniem a drugi fanatyczny kryptoluter) idą w bój pięknie uzbrojeni, w błyszczących szyszakach z długimi włóczniami, zasłaniając się tarczami coraz gruntowniejszej, gorączkowo uzupełnianej erudycji, sam hetman Reformacji Seksualnej (i „robienia pod siebie“) wypada z jaskini Smolnej jak Amok biblijny, jak Rübezahl, jak Madej zbój (nie ksiądz!) i jak... towaryszcz Calibanow, coraz więcej po prostacku, ordynarnie, wulgarnie, z chamska. Skiwskiego mocowania się ze sobą samym, Hulki szwadronady czyta się spokojnie nie bez gustowania we fragmentach i w wenie pisarskiej. Dorwali się do złotodajnych żył i eksploatują je jak pionierzy w Clondyke.

Plugastwa Boya natomiast w dzisiejszej fazie jego degryngolady konwenjować mogą już tylko hołocie definitywnej i sanatorom z IV stanu. Gdy się zaś jeszcze zna z za kulis jego chciwość Molieroską, jego żarcie się o jak najwyższe tantjemy, kontrolę nad każdym złociszem, gniecenie do ściany wydławców, nadkładców, spietranych księgarzy i t. p. inaczej... piękniej mówiąc jego Beaumarchoskie kalkulanckie kupieckie manjactwo, no to wprost z odrazą czyta się i już nie doczytuje tych wulgaryzmów obsessjonata, który przez nie chciałby być i possesjonatem i mieć na skroni laury bojownika, cierpiętnika, bohatera.. Woltera.

Z równie ordynarną nienawiścią do polskiego kleru i księży można się było spotykać tylko w artykułach pruskich dziennikarzy dawniej lub w powieściach niemieckich t. zn. Schund albo Hetz romanach teraz. Ostatnio (1932) w powieści K. O. Barka p. t. *„Deutsche Wacht an der Weichsel“* jest typ księdza polskiego wypisz wymaluj jak z Boya i dla Boya. W Schundromanach pruskich polski Pfarrer bywa stereotypowo apoplektycznie opasły, ma dużą piwnicę z węgierskiem winem, szczypie dziewczyny wiejskie, dziecko zrodzone z gospodynią radzi topić w ruczaju, wygłasza przy każdej okazji Bogojczyźniane frazesy i każe sobie suto płacić za wesela, pogrzeby, chrzciny. Egoizm, sybarytyzm i... patrjotyzm polskich pfarerów nie mają granic.

Na literalnie taką samą „koncepcję“, zdobył się i zdecydował ku olbrzymiemu gaudium żydostwa ten pisarz polski, który przed wojną był *lucidum intervallum* w mrocznym smętku kończącej się niewoli, był *amor et deliciae generis Sarmatorum*, aby po wojnie, po sfermentowaniu zostać coraz więcej gruboskórniejącym bawidamkiem Jekatieriny Sanacji, lepem na prenumeratorów dla Fryzego a wreszcie spaść aż do szantażowego bumsu krakowskiego I. K. C., gdzie atoli p. Żeleńskiemu zaczepiać kler pod rygorem natychmiastowej eksmisji, zakazano... czemu polski Wolter grzecznie się poddał..

Materjał na bohatera ideowego, na chorążego „oświecenia“ i walki z „potęgami ciemnoty“ to tedy nie jest. Na taką rolę musi iść człowiek z innej gliny, z innego spławu psychofizycznego. Gdyby indywidualność z tą furją seksualnopisarską i z tą demagogją mvślową miała jeszcze charakter, bezinteresowność, zdolność do poświęceń i ofiar, już byłaby może w naszych warunkach i niebezpieczną. Możeby ją żar wewnętrzny i pęd do wywalczonej prawdy zawiódł aż przed kratki sądowe jak pisarzy francuskich, hiszpańskich, niemieckich, holenderskich, amerykańskich, rosyjskich. Ale w Boyu, fejletoniście, piszącym wszystko *sub specie Minoritatis* niema jednej uncji z Apollinaire'a, z Rimbauda czy z Sinclaira, czy z Multatulego, z Joyce'a czy z Unamuny, ba nawet z Hatwanjego czy Ossietzkiego. Przed kryminałem by zemdlał a strzelić z nabitego rewolweru (jeżeliby go już wziął do ręki), mógłby chyba tylko do księgarza, co się zbyt w rachunkach myli...

To też jeżeli tego typu nie tyle szer-mierz co raczej *cher-maitre*, nie tyle nieustraszony Don Kiszot ile plotkujący Don Pansa raz po razu tu i ówdzie (może już wnet w „Miesięczniku Żydowskim“, w „Ewie“, w „Lodzer Sztymme“) zarzuca katolickiemu duchowieństwu w judosławnej Polsce „drapieżne groszoróbstwo“ *(sic)* chciwość na złoto, „śpiewanie“ egzorcyzmów za 5 dolarów, jednem słowem poziomy gruboskóry materjalizm no i ten zarzut stale uogólnia, generalizuje, no to to są szczyty, szczyty paradoksu; ani bowiem Giordano Bruno ani Hus nie kazali sobie bajecznie płacić za swoje z przesądami boje. Walczyli swego czasu u nas z „klerem“ Świętochowski (1882), Niemojewski (1902) no i niżej podpisany, ale równocześnie walczyli ciężko o byt i egzystencję no i w swych kampanjach czy tylko ekskursjach dyskredytujących apelowali wyłącznie do inteligencji zawsze argumentami wysokiej klasy, niekiedy głęboko naukowymi, zawsze europejskimi. Boy napada, ujada i psioczy z poziomu autora „Barbary Ubryk“, komiwojażerów i subiektów opowiadających sobie pieprzne szmoncesy o płci aniołów i celibacie kardynałów, z poziomu aptekarza Homais z powieści Flauberta, z poziomu... St. Przybyszewskiego, ale kiedy Przybyszewski (żonaty wówczas z żydówką) pisywał w r. 1892 dla berlińskiej „Gazety Robotniczej“, z której go po krótkim czasie usunięto. To jest bój z przesądami i zabobonami ale adresowany do Ghetta i obliczony na Tschandalę, na mob, na motłoch.

Pora już wielka, żeby doktór Żeleński zaczął precyzować, pisząc o „okupantach“.

Wśród „okupantów“ są bowiem i tacy jak zmarły ksiądz biskup Łoziński, autor „Rozważań Majowych“ i ksiądz biskup Kubina autor „Akcji katolickiej i akcji społecznej“. *Opera ignota.* Wśród okupantów jest ksiądz prałat Swiejkowski z Gorlic, przed którego niezłomnym charakterem ugiąłby się każdy agnostyk, każdy Zola czy Margueritte oprócz takich, którym nieuleczalnie sperma uderzyła na cerebrum...“

Są oprócz tego misjonarze polscy, co wyjechali do... Trędowatych. I są inni reguły Św. Wincentego à Paulo, co wyjechali niedawno do Chin, aby tam w najniebezpieczniejszych okolicach założyć Polskę i M e d y c z n ą! Stację Misyjną.

Jakże marnie, jakże nędznie, jakże tandetnie wygląda cała ta „ułatwiona“ wojna naszego rycerza „prawdy“ i „postępu“, pederastij i... „abortow“ z... „Pirożyństwem“, gdy się porówna ze świętością żywota biskupa pińskiego, z odwagą cywilną „klechy“ Kubiny, z niezłomnym hartem misjonarza Swieykowskiego, z męczeństwem i katorgą polskich „popów“ z wysp Sołowieckich, no i ze... stuprocentowym idealizmem naszych „chińskich“ misjonarzy.

To też Boy jako bojowiec byłby dopiero niebezpieczny, gdyby miał w swej indywidualności i pisarskiej i ludzkiej kilka uncji z charakteru tych „naszych okupantów“.

Wtedy z pomocą swej demagogji panseksualistycznej, swej trywialnej płytkości i przystępności no i swego psychicznego żydostwa mógłby wobec kompletnego nie zorganizowania katolickiego życia intelektualnego u nas szerzyć dokoła ciężkie spustoszenia i moralne. „Dobrą“ wolę w tym kierunku ma.

Taki, jaki obecnie jest *l'homme d'affaires litteraires*, oddziaływa tylko na sanatorów i na moral-in-Semitów. Nadto przepadają za nim nadal tak zwane przez niego „dziwki“. Wszelkiej maści, kalibru, fasonu i taksy. Ale Pirandella wolą. A kino z apaszami jeszcze bardziej.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W ostatnich czasach praca w łonie Bloku Bezp. współpracy z Rządem znacznie się ożywiła. Ze szpalt dzienników nie schodzą nazwiska R. Jaworowskiego, Tasiemki, Sobieraja, I. Kujawskiego i in. Głośno też rozbrzmiewa nazwisko zastępcy starosty kaliskiego, p. Namysłowskiego.

*

W dziennikach krążą opowiadania o tem, jakie to wypracowania domowe zadawane są w szkole średniej w Rohatynie: w kl. III „Czy lepiej się żenić wcześnie czy później?“, w kl. VI „Czy wskazane są rozwody?“ i t. d. W roku przyszłym pewno będą ćwiczenia o poradniach świadomego macierzyństwa. Potrochu, jak widzimy, wytwarza się program szkoły reformowanej p. Jedrzejewicza. Brawo Rohatyn! On pewno pierwszy wprowadzi do szkoły „koleżeńskie małżeństwa“, czy coś w tym rodzaju.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.